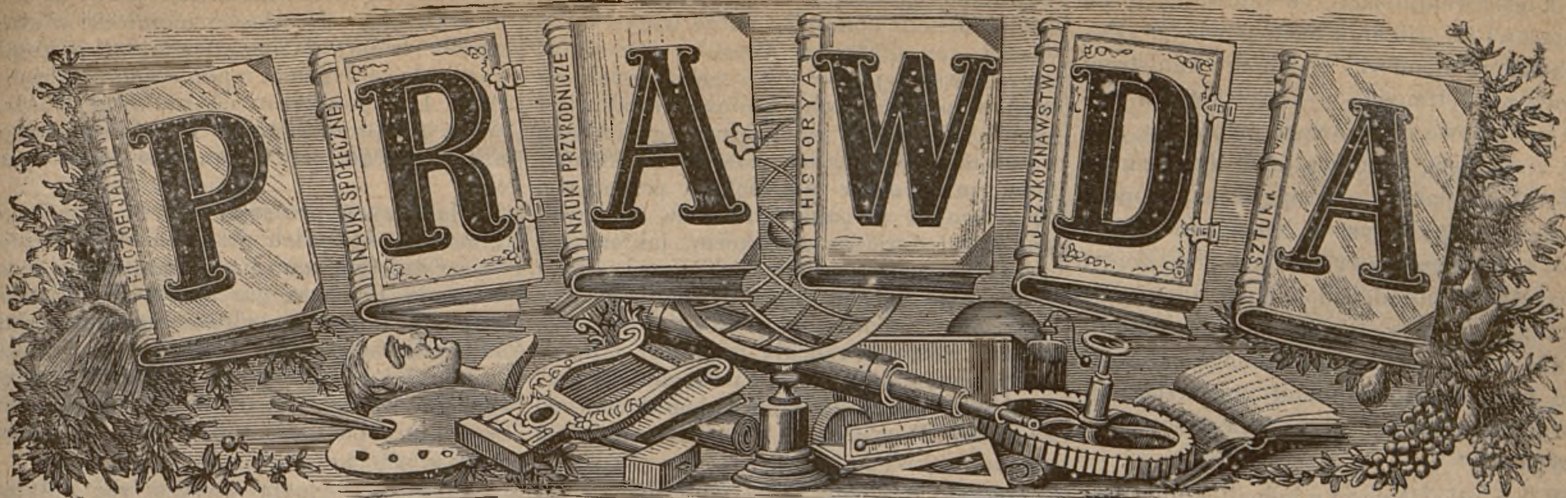
№ 28. Warszawa, dnia 14 (2) Lipca 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Ponieważ pojedyncze zeszyty **Historyi XIX w.** są już wyczerpane, sprzedajemy więc tylko całość dzieła.

W dodatku kwartalnym **Prawdy** rozpoczęliśmy druk **Antropologii** Tylora z ilustracyami.

POLITYKA.

ODWIEDZINY.

Wyjazd Wilhelma II do Petersburga w oderwaniu od szczególnych swoich warunków byłby zupełnie naturalnym aktem grzeczności, której dług młody monarcha spłacić winien nietylko za siebie, ale za ojca i dziada. Jeżeli więc podróż ta wywołała tak mocne zdumienie, że nawet niemieckie gazety nie dowierzały jej aż do dni ostatnich, wynikło to z rozważania okoliczności zewnętrznych a po części z przypuszczeń, jakiemi, w braku danych istotnych, odmalowano na stronicach prasy charakter cesarza niemieckiego. Według legendy, która powoli rozwiewać się zaczyna, miał on być wodzem, łaknącym wojny i gotowym coprędzej zamienić berło na miecz. Nadto sam w mowie tronowej ustopniował i ponumerował wyraźnie stosunki przyjaźni swoje i swego państwa. Pierwsze miejsce dał Austryi, drugie Włochom; spodziewano się więc, że tą koleją będzie odprawiał swe odwiedziny. Tymczasem rozpoczyna je od Petersburga. Nie można się dziwić gazetom, że szukają przyczyny tego zwrotu, która leży głęboko ukryta w zwojach tajemnic dyplomatycznych. Ale jakkolwiek ks. Bismark jest mistrzem w milczeniu a swych współpracowników należycie w niem wykształcił, przy dzisiejszem natręctwie i zręczności korespondentów i przy błyskawicznym pośpiechu obsługi telegraficznej, pozwalającej szybko wiązać w łańcuch najdrobniejsze ogniwa zdarzeń, bezwzględne osłonięcie działań politycznych jest już dziś niemożliwem. Brzeżki przeto zamiarów rządu berlińskiego wychyliły się na zewnątrz.

Już dziś po za wszelką wątpliwością stanął fakt, że stosunki niemiecko-francuzkie naprężają się coraz bardziej i niebezpieczniej. Niedawno jeszcze miały one przynajmniej pozory zgody, oba rządy wymieniały między sobą ciągle grzeczności, ks. Bismark nawet nieraz ustępował z drogi i popierał interesy francuzkie. Zdawało się, że plastry balsamowe ranę z r. 1871 zagoją, że pamięć doznanych krzywd i upokorzeń osłabnie. I zapewne ten proces zabliźniania się postępowałby dalej, gdyby władzę ujęli w swe ręce oportuniści, którzy okazywali największe umiarkowanie. Ale przeszła ona do radykałów, a jeżeli i oni nie stoją na twardym gruncie, to w każdym razie dziś szala waha się między nimi a monarchią. Oba te żywioły nie obiecują Niemcom spokojnego sąsiedztwa. Dodać do tego trzeba, że pomimo ustawicznych zmian systemów i osób, rządzących Francyą, w jej wydziale wojskowym trwa ciągłość usiłowań w kierunku zbrojenia się. Nowi ministrowie wojny nie psują roboty swych poprzedników, lecz ją prowadzą dalej, tak, że Francya dotrzymuje kroku swą potęgą militarną wszystkim mocarstwom a niektóre znacznie wyprzedza. Wzrost tej potęgi i równoległy z nim wzrost przewagi żywiołów, oddychających pragnieniem odwetu — dwa te groźne widma nie pozwalają odpocząć ks. Bismarkowi w pracy obronnej, która może się zamienić na zaczepną. Obarczenie przyjeżdżających do Niemiec francuzów formalnościami paszportowemi i znacznym podatkiem, dokonane i zamierzone przeciw nim środki w Alzacyi i Lotaryngii, starcia na granicy, ostry ton półurzędówek pruskich, wszystko to wskazuje, że ks. Bismark cierpi na Francyę, że ją ubezwładnić usiłuje. Czem zaś ją ubezwładnić może? Tylko — Rosyą. Brukselski *Nord* ma poniekąd słuszność, twierdząc, że sympatye ruskie dla francuzów były czysto prywatne i nie przenikały do sfer rządzących. Niepodobna wszakże tych sfer odgraniczać od narodu, którego uczuciami one, bądź co bądź, nasiąkają. Ale chociażby tu nawet istniał przedział, czy rozbrat, sama polityka „wolnej ręki," zastrzegająca sobie działanie na chwilę stanowczą, była dla Niemiec w ich rachubach ilością niewiadomą, znakiem algebraicznym, w który owa właśnie stanowcza chwila mogła wstawić niepożądaną dla nich cyfrę. Idzie więc teraz albo o rozszerzenie przymierza albo o uzyskanie ustępstw i zapewnień, które by „wolną rękę" nie czyniły groźną. Po to jedzie cesarz niemiecki.

Czy osiągnie cel? Prasa ruska znaczną większością odpowiada, że Rosya skrępować się nie da, że dotychczasowe, niezależne i rozstrzygające stanowisko przyniosło jej i przyniesie takie korzyści, jakich Niemcy nie zrównoważą swemi ofertami, że o powrocie do ich rydwanu nie ma mowy. Zauważyć jednak należy, iż mają oni w zanadrzu dar bardzo poważny, sprawę bułgarską, którą poświęcą, jeśli tylko za tę cenę zyskają poparcie albo przynajmniej obojętność względem Francyi. Gotowość zaś do takiej ofiary kosztem interesów Austryi zależy od tego, czy Niemcy myślą wyzwać swą zachodnią sąsiadkę, czy też czekać od niej wyzwania. W pierwszym wypadku będą hojne, w drugim—oszczędne.

Półsłówka i złośliwe mrugania gazet wiedeńskich, napomykających, że podróż cesarza niemieckiego przedsięwzięta została w „porozumieniu" z uczestnikami sojuszowej spółki, rozdrażniają prasę ruską.

Najkonsekwentniejszy (w stosunkach do niemców) jej dziennik *Swiet* powiada: „Póki kanclerz niemiecki będzie nie ministrem spraw zewnętrznych, wykonywającym mądre i pokojowe plany swego monarchy, lecz siłą niezawisłą, panującą nad dyplomacyą wszystkich państw europejskich, dopóty zgoda między Rosyą a Niemcami będzie spotykała nieprzezwyciężone przeszkody. Z państwem tem niepodobna porozumieć się w żadnej sprawie, dopóki istnieje domniemanie, że owo porozumienie mogą paraliżować przymierza z innemi mocarstwami, których treść wychodzi na jaw przez jakiś przypadek.“

Wobec przebiegłości z jednej, a niewiary z drugiej strony, mylą się zarówno ci, którzy podróży cesarza niemieckiego odmawiają znaczenia politycznego, jak i ci, którzy jej przypisują je. Wagę bowiem tych odwiedzin ocenić będzie można po powrocie Wilhelma II z Petersburga.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeśli można wierzyć zapewnieniom dzienników, król Milan chce rozciąć swój węzeł małżeński względami nie sercowej, lecz politycznej natury. Zatarg w koronowanem stadle trwa oddawna a pogłoski przędły go z rozmaitych nici. Pierwotnie głoszono, że królowa Natalia jest chorobliwie zazdrosną, że mąż jej żywi gorętsze uczucia dla jakiejś hrabiny, że żona trapi go prześladowaniem publicznie. Teraz pasmo romansowe zrzucono i założono na kołowrotek inne. Według tego, królowa prowadziła własną i przeciwną mężowi politykę, spiskowała z jego nieprzyjaciółmi, poniewierała nim jawnie a nawet wymagała zrzeczenia się tronu na rzecz syna. W tej, czy w innej walce struny drażnionego stosunku wytężyły się tak daleco, że muszą już dziś pęknąć. Monarcha serbski zażądał rozwodu, którego mu podobno synod udzielił. Ale królowa mieszka w Wiesbadenie i niotylko protestuje przeciwko rozdziałowi, ale — co ważniejsza — nie chce oddać syna, następcy tronu. Wysłano do niej biskupa Proticza, którego przyjąć nie chciała, odwołano się więc do rządu niemieckiego, ażeby udzielił pomocy— dotąd wszystkie te środki nie skutkują. Wogóle, jak widać z przebiegu tej sprawy i ogłoszonych dowodów piśmiennych, królowa Natalia jest niewiastą bardzo energiczną, gwałtowną i jeśli rzeczywiście przeciwstawiała się mężowi, miał on z nią ciężkie przeprawy. W obecnym wypadku nie cofa się nawet ona przed starciem gorszącem, jakiem jest a jeszcze bardziej będzie wzajemne wydzieranie sobie dziecka przed oczami całej Europy. Tej zasłony, jaką zwykle na swój dramat rodzinny rzucają prywatni i nizko postawieni ludzie, ona nie potrzebuje i śmiało obnaża przed światem tajemnice swego związku. Tego rodzaju charakter mógł stać się dokuczliwym.

Gazety bąknęły, że po rozwodzie Milan zamierza poślubić siostrę cesarza Wilhelma. Jest to domysł bardzo fantazyjny, ale zdradza naturę gruntu na którym wyrósł. Do jakiego stopnia polityka przeniknęła dziś we wszelkie stosunki, widzimy z dwu objawów: z zażartej walki około umierającego Fryderyka III i z kłótni w panującym domu serbskim. Gdyby nie te wpływy, prawdopodobnie król Milan żyłby zgodnie z żoną, którą początkowo bardzo kochał. Ale rozdarła się polityka, której najrozmaitsze prądy krzyżują się nadewszystko w Belgradzie. Jest to — jak niemcy mówią — punkt węzłowy przeróżnych torów politycznych i żaden może naród tak nie żyje interesami swojskimi i nie ulega bardziej obcym, jak Serbia.

Zdawało się, że powszechny wstręt, wywołany kłótniami na grobie Fryderyka III, stłumi je wreszcie. Nieprawda, lekarze niemieccy wydali broszurę, w której piętnują Mackenzjego mianem oszusta, intryganta i nieuka. Tfu! rozległo się szeroko w prasie liberalnej niemieckiej. A jest to jedyna na ten paszkwil odpowiedź. Zauważyć przytem należy, iż sprawa choroby cesarza niemieckiego i urządzonej nad nim opieki, zamiast wyjaśniać się, zaciemnia coraz bardziej. *Wiek* przytacza rozmowę swego (?) korespondenta z dr. Mackenziem, w której ten znowu utrzymuje, że go ciągle usuwano od udziału w leczeniu, że często nie miał na nic żadnego wpływu, że w San Remo z Berlina wywierano ciągle silny nacisk, że po śmierci monarchy kazano mu natychmiast wygotować opis choroby i przysłano na egzekucyę oficera — itp. Kto prawdę mówi—nie wiadomo, ale że paskudztwa w tym zatargu nagromadziło się mnóstwo— to widzi każdy gołem okiem.

Pomiędzy Berlinem a Londynem stosunki zakwasiły się. Cesarz niemiecki w swej mowie tronowej nie wspomniał o Anglii z umysłu a legenda o papierach po Fryderyku III, powierzonych królowej Wiktoryi a kompromitujących urzędowe otoczenie zmarłego, powtarzaną jest coraz uparciej.

Irlandczycy przegrali proces przeciwko *Timesowi*, który ich przywódców oskarżył o uczestnictwo moralne w pamiętnem morderstwie. Obrońca gazety przeczytał sądowi listy Parnella, zdradzające ten udział, odmówiwszy podania nazwiska osoby, która je redakcyi dostarczyła; Parnell pism tych się wyparł. Ale ponieważ robi on to za często, przypuszczać więc należy, iż niezawsze szczerze.

Gabinet Floqueta jeszcze raz opłynął szczęśliwie Scyllę i uratował swe życie na kilka miesięcy.

Ks. Aleksander Battenberg, spadłszy podczas przejażdżki z powozem w wąwóz pod Darmsztadem, potłukł się niebezpiecznie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY REALNE.

Ogłoszona została nowa ustawa dla szkół realnych, zmieniająca w wielu punktach dawną. Szkoły te będą miały również sześć klas normalnych i wstępną oraz dodatkową z kursem przygotowującym do wyższych zakładów naukowych.

Klasa wstępna korzysta z zasiłków rządowych tam tylko, gdzie językiem codziennego użytku nie jest ruski; gdzieindziej zaś powinna być utrzymywaną kosztem funduszów miejscowych.

Od klasy piątej kurs dzieli się na zasadniczy i handlowy, dwie zatem klasy ostatnie mogą posiadać po dwa oddziały.

Szkoły te utrzymywane przez ziemstwa, miasta i osoby prywatne, lecz z dyrektorem, inspektorem i nauczycielami z nominacyi ministeryum, korzystają z tych praw i przywilejów, co współrzędne zakłady rządowe. Wszelkie inne, posiłkujące się nauczycielami prywatnymi, pozostają na dotychczasowem stanowisku.

Przedmiotami wykładów są: religia, język ruski, niemiecki i jeszcze jeden cudzo-

---

2)

Z tajemniczego świata.

II. Szarańcza.

Plagą południowo-wschodniej Afryki jest szarańcza. Dnia 23 kwietnia 1886 r. — opowiada podróżnik niemiecki Mohr — wozy nasze przechodziły przez rzekę Vaal, która w tem miejscu posiada co najmniej szerokość Wezery przy Bremie, z łoskotem uderzając o gładkie, okrągłe kamienie, leżące w jej korycie. Każdy inny, nieafrykański wóz połamałby się w kawałki. Na prawym brzegu leżała mała ferma. Ludzie moi, zatrudnieni przeprawą, około południa spoczęli i rozniecili ogień. Na południowo-zachodniej stronie widnokręgu spostrzegłem jak gdyby olbrzymie słupy dymu, które wznosiły się coraz wyżej i wkrótce dosięgły naszego zenitu. Sądziłem, że pola objął pożar. Zwróciłem uwagę moich towarzyszów, którzy po żółtawym odcieniu rozpoznali natychmiast, że jest to skrzydlata plaga Afryki, wszelką roślinność niszcząca szarańcza.

Siedzieliśmy w cieniu naszego wozu i jedliśmy obiad. Naprzód zaczęły spadać pojedyncze owady, potem tuziny, wreszcie setki i tysiące. Ich niezliczone gromady tak zaćmiły powietrze, że przez nie można było gołem okiem patrzeć na słońce, które wyglądało czerwono, bez promieni, jak przy zachodzie. Stada ptaków uderzały ciągle na to skrzydlate morze szarańczy, ale jej ilość była niezmierzona, jak piasek pustyni. Naokoło pokryła ona ziemię i rzekę żółto-zieloną warstwą. Ogródek przy fermie był w ciągu paru minut całkiem pożarty.

Z niezmąconym spokojem turków siedziała w swym domku rodzina bocrów i milcząco przypatrywała się zniszczeniu płodów pola i ogrodu, co o tyle było rozumnem, że wszelka obrona nie doprowadziłaby do niczego, gdyż nawet gorzka kora brzoskwiń nie oparła się żarłocznym owadom.

Najgorszem jest to, że gdziekolwiek szarańcza spadnie, zaraz składa jajka, tak, że w następnej porze deszczowej niezliczone gromady jej potomstwa wypełzają z ziemi i bez skrzydeł, skacząc, wszelką roślinność znowu pożerają. Krajowcy utrzymują, że te bezskrzydłe młode są jeszcze szkodliwsze od starych. Co do ich ilości zaś, Chapman zapewnia, że nieraz brodził w sześciocalowych warstwach ciał szarańczy.

Osły, woły, konie, owce i kozy jadły ich chciwie; słoniom i innym zwierzętom trawożernym smakuje ona szczególnie, a plemiona Afryki południowo-wschodniej uważają ją za przysmak, zbierają masami i jedzą pieczoną lub suszoną. Tak przygotowaną i ja kosztowałem — bez soli nie ma żadnego smaku.

Pochodów jej nic nie zdoła powstrzymać; gdy dojdzie do rzeki, rzuca się w nią ślepo, dopóki ginąc nie utworzy pokładu, po którym następnie szeregi dalej skaczą.

III. Strusie.

...Ponieważ już była 2 po północy—opowiada Farini — wróciliśmy do wozów, umówiwszy się, że o brzasku każdy z nas pójdzie w innym kierunku, a potem zatoczymy wielkie koło i w ten kocioł napędzimy możliwie największej zwierzyny.

Niedaleko spotkałem tropy strusie, za którymi instynktowo posuwałem się, zapomniawszy, że oddaliłem się od linii umówionego koła. Ślad prowadził mnie przez ławicę piaszczystą, z której szczytu mogłem ogarnąć okiem krąg szeroki. Nic dostrzegłem ani jednego ptaka, ale tem częstszo tropy. Przez wzgórza i doliny szedłem coraz dalej, dopiero skwar i pragnienie przypomniało mi, że dzień już upłynął znacznie. Słońce wskazywało stało jeszcze wysoko

ziemski (francuzki, angielski, włoski lub nowo-grecki), geografia, historya, matematyka, fizyka, nauki przyrodnicze, rysunki ręczne i techniczne, kaligrafia i buchalterya.

Wstęp do tych szkół mają dzieci wszech stanów. Tylko należące do osób prywatnych mogą za zgodą ministeryum zaprowadzać ograniczenia.

Wiek dla kandydatów do klasy wstępnej od 8 do 10 lat, umiejętność czytania i pisania po rusku, liczenia do 1,000 i dwu pierwszych działań, oraz znajomość religii; do klasy 1-ej wiek od lat 10 — 13, umiejętność płynnego czytania po rusku i pisania bez przekręcania słów, oraz czytania po starosłowiańsku, wreszcie znajomość czterech działań arytmetycznych.

Skalę opłaty wpisowej oznacza rada pedagogiczna w porozumieniu z ministeryum oświaty.

Uczniowie pozostający przez dwa lata w tej samej klasie winni być wydaleni.

Ci, którzy ukończyli 4 klasy, mogą otrzymać świadectwo na równi z kończącymi szkoły państwowe; kończący kurs całkowity nauk mogą wstępować do wyższych zakładów specyalnych po złożeniu egzaminu potrzebnego. W służbie wojskowej korzystają z przywilejów zakładów naukowych dwu pierwszych kategoryj.

Minister oświaty na początku 1888/9 ma prawo w tych szkołach, gdzie istnieją w klasie oddziały: zasadniczy i techniczny, znieść ostatni, a tam, gdzie istnieją mechaniczny i chemiczny, dać pierwszeństwo ostatniemu.

Prawdopodobnie i z tych przepisów skorzystamy według możności i uwagi na interesy społeczne.

PO ŚWIECIE.

IX.

Ośmsetletnia rocznica założenia szkoły bolońskiej.

(Dokończenie).

Po wspaniałej mowie Carducciego rozpoczęła się ceremonia składania darów na ręce rektora Capelliniego. Listy, księgi, albumy, pamiątkowe pergaminy, ułożyły się na stole w ogromny stos, poczem przemawiali przedstawiciele zagranicznych uniwersytetów po łacinie, po włosku, po francusku, po niemiecku; naprzód wysłaniec uniwersytetu wiedeńskiego, następnie peszteńskiego, lwowskiego (prof. Piętak) *); profesorowie belgijscy, holenderscy, duńscy, szwecccy, francuzcy, niemieccy, angielscy; przedstawiciele Hiszpanii, Portugalii, Rosyi, Rumunii, Szwajcaryi, nawet Ameryki, Azyi i Australii. Nie powtarzamy łacińskiej odpowiedzi prof. Gaudiniego, rozpoczynającej się tak: „*Quod ante oculos nostros obversatur spectaculi genus est eiusmodi...*" pomijamy marsze, hymny i bankiety uczonych, wspomnimy za to zabawę studentów w miasteczku Casalecchio dla jednego ciekawego faktu. Humor był oczywiście różowy i szumny, jak toskańskie *Chianti*; 730 bohaterów dnia wywołało w gospodzie „Pod starym butem" huczek niezwykły; toasty, w których słyszałeś imiona wszystkich krajów i narodowości, przyjmowane były z zapomnieniem politycznych kwasów nieklamanie serdecznymi okrzykami, a podbijały wesołość tę ciągle nadchodzące telegramy, między innymi makaroniczny z Turynu: „Superstites reliquiae comitatus Taurinensis sub furca examinis aquolina bucca sognantes bisteccas formaium patatones inundata sanguine sanguinis nostri nomine cunctu Ataenaei fraterno plaudimus symposi. Potentissimam internationalem sborniam auguramus."

W tej chwili teutońskie szydło wyszło z worka bardzo zabawnie, przyjęto je też grzecznie, lecz dosadnie. W zasadzie nic było to zdrożnem, choć przecie niewłaściwem, aby na takiej międzynarodowej, republikańskiego charakteru uczcie kazano żalić się nad familijnemi zajściami europejskich dynastyj: usztoby, gdyby telegram do konającego właśnie cesarza Fryderyka byli zaproponowali sami włosi, jako gospodarze, ale była wprost nietaktowna i wprowadzała prezesa zabawy w najwyższe zakłopotanie poufna propozycya taka ze strony niemców. Nie mógł wyjść zeń zgrabniej, a zarazem uszczypliwiej, jak wyszedł, na wyborną nauczkę tych panów z Berlina. Oto *w imieniu studentów niemieckich* zaproponował ów telegram do cesarza niemieckiego, a zaraz po nim *w swojem imieniu* drugi telegram do prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej. Pierwszy, w czasie redagowania którego panowie owi dobyli hałaśliwie rapirów (czynili to przy każdej okazyi), brzmiał: „Studenci zgromadzeni w Bolonii przesyłają wam wróżbę prędkiego wyzdrowienia, przypominając, że pod tem pięknem niebem pokrzepiliście Wasze zdrowie." A drugi: „Studenci wszystkich narodowości etc... przesyłają zapewnienia głębokiej czci, pomni, że Francya jest krajem postępu i wolności."

Zabawa przeciągnęła się do rana, które zresztą wszło prędko; jeżeli więc cienie nocy nie mogły już rzucić zasłony na ofiary uczty leżące na stołach i... pod stołami, my ją rzucamy tem chętniej, że tegoż dnia (13 czerwca) uroczystość jubileuszowa przedstawiła jeszcze kilka dostojniejszych ceremonij.

Naprzód złożenie wieńców na pomniku Galvaniego; nie był to wprawdzie ani dzień jego urodzin (ur. się 1737 r.), ani śmierci (um. 1798 r.), ani data odkrycia elektryczności zwierzęcej (1786 r.), ale wyzyskano gorączkę hołdów i ozdobiono laurowymi i kwiatowymi wieńcami ładny pomnik, stojący na placu przed Archiginnasio i przedstawiający uczonego w chwili, gdy obserwuje skurcz żabich ud *).

Następnie w podwórzu Archiginnasio wręczenie honorowych dyplomów i wieńców zagranicznym uczonym. Na trybunach król, królowa (zawsze w jasnych sukniach), damy, senatorowie, deputowani, profesorowie, studenci poglądają z całą możliwą powagą. W środku stół, na nim na srebrnej tacy złoty pierścień z ametystem, podarunek dam, służący dziś do doktoryzacyj. Dziekani poszczególnych wydziałów wzywają po imieniu nowo-doktoryzowanych, poczem ci po włożeniu na palce pierścienia wypowiadają formułkę: *credo, pronuntio, praedico*. Liczba nowych doktorów wynosi 113. Wymieniamy najznakomitszych, z których zaledwie kilku jest obcych: Z *matematycznego* wydziału: Kronecker, Helmholtz, Chevreuil, Berthelot, Bunsen, Lesseps. Z *prawnego*: Gladstone, Mommsen, Herbert Spencer, Leroy Beaulieu. Z *medycznego*: Virchow, Koch, Pasteur, Billroth, Pettenkofer. Z *filologicznego*: Bonitz, Gaspary, Gladstone (jeszcze raz), Max Müller, Gaston Paris, Renan, Herbert Spencer (jeszcze raz), Wesołowski z Petersburga, itd.

*) Wszechnicę Jagiellońską reprezentowali prof. Morawski i doc. Mycielski. Z młodzieży w charakterze reprezentantów byli jedynie lwowianie.

*) Zwrócę nawiasem uwagę, że *Kłosy* umieściły niedawno rysunek tego pomnika, podpisując go nazwiskiem nie Galvaniego, lecz Volty, co jednak wywoła pobłażliwszy protest, niż przedstawienie czytelnikom w tymże, czy w następnym numerze portretu wesołego i pulchnego Henryka Ibsena z ponurym podpisem Artura Schopenhauera. *Egrot.*

---

położyłem się więc w cieniu krzaku, ażeby wypocząć. Napiwszy się wody, wziąłem lunetkę i spojrzałem wokoło. Piasek, piasek i piasek bez żywej istoty. Gdym usiadł, objęło mnie takie znużenie, żem usnął.

Obudziłem się po południu. Obejrzawszy się, po jednej stronie dostrzegłem stado kóz, a po drugiej — sześć strusiów. Poszedłem ku ostatnim, to czołgając się po wzgórzach, to biegnąc przez doliny. Szczęściem wiatr dął ku mnie, po godzinie więc czołgania i biegu zbliżyłem się na odległość strzału. Gdy przysunęły się na sto kroków do mnie, strzeliłem. Zerwały się jak wicher i uciekły bez znaku, aby którykolwiek był trafiony, a ponieważ biegły pod prostym kątem linii strzału, posłałem za nimi jeszcze sześć kul. Widziałem je niknące za pierwszą, za drugą zaspą piaszczystą, ale mknęły jak wcale niedraśnięte, pomimo że niepodobieństwem było, ażebym ani razu nie trafił. Z pół godziny dążyłem za nimi, aż wreszcie na pochyłości jednego wzgórza ujrzałem samicę leżącą i daremnie usiłującą powstać. Z obawy, ażeby nie uciekła, strzeliłem do niej, zbiegłem na dół, przeciąłem jej szyję i pospieszyłem za innymi.

Po godzinie drogi spostrzegłem siedzącego starego samca, przypełzałem do niego jak najbliżej i posłałem mu drugą kulę. Gdy zerwał się, strzeliłem raz jeszcze — zaczął się trzepotać. Ze wzruszenia omal mi serce nie wyskoczyło. Słońce miało się już ku zachodowi, wiedziałem dobrze, ile mil odsunąłem się, nie mogłem wszakże mojego łupu zostawić. Musiałem jeszcze użyć dwu kul, zanim struś wyciągnąwszy nogi, upadł. Uciekać już nie mógł, ale pozostał mu do obrony dziób, o którego sile wkrótce przekonałem się dowodnie. Porwawszy go za gardło, przeciąłem je, wyrwałem najpiękniejsze pióra, niezbyt długie, gdyż pora była za wczesna.

Teraz dopiero zacząłem rozmyślać, jak daleko jestem od wozów. Wiatr dmuchał silnie i zacierał ślady moich stóp, które miały mi wskazywać drogę powrotu; przedewszystkiem jednak rozpaliłem ogień i ugotowałem część uda strusiego: zupa ta smakowała mi tak, jak tylko zgłodniałemu smakować mogła. Podczas gdy inny kawałek mięsa piekł się, zbadałem ptaka i przekonałem się, że drugie udo miał również przestrzelone a trzy kule przeszły przez niego — a mimo to milę musiałem go ścigać.

Przedewszystkiem należało odnaleźć zabitą samicę, zanim szakale ją napoczną. Udało mi się to zaledwie po dwu godzinach drogi, a przyszedłem w chwili, gdy małe szaro lisy już uwijały się około zdobyczy. Wyrwawszy jej najlepsze pióra i zasłoniwszy się od wiatru, ze strzelbą w pogotowiu dla odparcia nocnego napadu, położyłem się spać. Szczekanie szakalów i hyen budziło mnie kilkakrotnie, ale pominąwszy to, nie spałem nigdy zdrowiej. O świcie wstałem, otarłem oczy z piasku, gdy nagle wzrok mój padł o kilka kroków na twarz ludzką, która się we mnie stale wpatrywała. Chwyciłem za strzelbę, ale owa istota nie ruszyła się. Sądziłem, że oczy mnie mylą: zacząłem je więc znowu przecierać a raczej coraz głębiej wcierać w nie piasek. A jednak stał przede mną człowiek, buszman, który utkwił we mnie spojrzenie, po głowę zasłonięty krzakiem i zasypany piaskiem. Podszedłem i zawołałem— nic odezwał się i nie drgnął. Nie mógł tego uczynić, gdyż był to trup biednego buszmana, który zginął na polowaniu, jak świadczyła leżąca przy nim strzelba i zawieszony na krzaku pęk piór strusich, nieco przez powietrze zniszczonych, ale stanowiących jeszcze wartość 20 funtów szt. Wiatry pustyni sprawiły mu pogrzeb, owinąwszy go całunem piasku, z którego tylko głowa wyglądała. Żadne zwierzę nie naruszyło tego grobu; krajowcy utrzymują, że żadne nie dotknie człowieka, który umarł z pragnienia. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten, wyczerpany trudami, głodem i pragnieniem, położył się za krzakiem i zasnął

Cała ta ceremonia była nużąca do tego stopnia, że w pewnej chwili król pobladł i bliski był omdlenia, który to wypadek niby wróżba złej wytrzymałości tronu uradował ogromnie zahukanych w bolońskich uroczystościach przeciwników nietykalności Rzymu. Wracamy bowiem do czasów, gdzie z zamąconych ludzkich wnętrzności wróży się podobnie, jak dawniej *haruspex* wróżył ze zwierzęcych.

Otóż okropnie ciężką filozoficzną chryję rzucił tegoż dnia Watykanowi na głowę prof. Bovio; postawił on niby program, jakich na podobnie urzędowych zebraniach dotąd się nie stawiało. Wojowniczy charakter tej konferencyi w teatrze Brunettiego zapowiedziały odrazu okrzyki studentów: *Abasso il Vaticano*! — pojawienie się i oklaskanie sztandaru „antyklerykałów“ — itd.

Bovio przebiega dzieje ruchów, zwanych *Risorgimento* (podniesienie się w w. XIV) i *Rinascimento* (odrodzenie w w. XVI), wskazując, że wolna myśl wybijała się każdorazowo z powaleniem Arystotelesa i powagi dogmatu. „Pozwólmy więc, że Odrodzenie pójdzie jedną stroną, a Kościół drugą... Rzym powszechny może pomieścić jedną i drugą ideę. Cudzoziemcy! Tu, gdzie myśl jest zasadniczo wolna, wolny jest i Kościół. Powiedzcie tam w domu, że w Rzymie Kościół może swobodnie przeczyć prawomocności nowego państwa, nam zaś wolno stawiać *veto* przybyciu św. Piotra do Rzymu i donacyi Konstantyna, tj. wolno nam przeczyć zasadzie jednej i drugiej potęgi... W Rzymie są możebne dwa światy, dwie cywilizacye, dwa języki; możebna jest wzajemna wolność, lecz niemożebne pogodzenie.“ Następnie stawia rozwojowi nowej Italii program pozytywizmu, jako jedynie zbawienny i woła: „Panowie, wiara religijna umarła, potrzeba ufać wiedzy na wzór tych, którzy myśleli, cierpieli i umarli. Dziś Bolonia daje nam wielki przykład; wskazuje, że katolicyzm jest tam, gdzie się znajduje i szanuje wiedzę. Uczeni i przedstawiciele całego świata tutaj zgromadzeni sądzili, że obchodzą święto myśli, a założyli religię. Dziś mesyasz jest zbiorowy; odkrycia stanowią ewangelię; obchód niniejszy jest mesyadą.“

Nie wypisujemy owacyj, które nagrodziły mówcę, ani innych demonstracyj antyklerykalnych, które po nich nastąpiły; wracamy do młodzieży, gdyż jej należała reszta ostatniego dnia jubileuszu; pierwszym ich festynem było rozdzielenie darów honorowych przez bolońskie damy studentom obcym i zagranicznym; drugim pocieszny pochód na osłach, w strojach XIV w., zakończony na wzgórku Montagnola z szaloną karnawałową pompą humorystycznych scen, koncertu, baletu itp. Opisywać to wszystko, byłoby nużyć czytelnika dzieciń/stwami, które tylko w szczególnych momentach wydają się dozwolonemi i mają niezaprzeczone prawo do pobłażliwości nawet poważnych filozofów i surowych dam.

Egrot.

BADANIA NAUKOWE.

INDYWIDUALIZM W SFERZE RELIGII.

Myliłby się, ktoby sądził, że religie Europy przedstawiają ostatecznie coś zakrzepłego w swem wykończeniu. Rzeczywistość przedstawia raczej odmienny widok. Prawo rozwojowe, mimo całej niepodatności dziedziny, ogarnia i wierzenia religijne. Nie mówimy już o stanowiskach, traconych w walce z rozszerzającym się poglądem naukowo-pozytywnym na stanowisko człowieka w przyrodzie i zadanie życia, gdyż ta przegrana zmierza ku zupełnemu wyrugowaniu teozoficznych pojęć i związanych z niemi zwyczajów. Mamy na myśli inne zjawisko. Uwaga publiczna w ostatnich czasach mało zaprząta się kwestyami natury religijnej i z tego powodu nie uwzględnia prądów filozoficzno-deistycznych, co podkopują się pod powagę tradycyi i prowadzą do rozłożenia jednolitych kościołów na drobne i niezależne gminy wyznaniowe. Zresztą fakt ten w zakresie protestantyzmu jest powszechnie znanym i nie wymaga bliższych udowodnień. Natomiast, co do katolicyzmu, istnieje uprzedzenie, że stanowi on opokę niewzruszoną dla wszystkich tego rodzaju wpływów. Mniemanie jaknajbłędniejsze! Świeża praca Vinsona o *Religiach obecnych* *) wykazuje, aczkolwiek jedynie w granicach Francyi, bezustanne wzmaganie się wśród świata katolickiego sekciarstwa deistycznego, i tendencye katolicyzmu w kierunku rozprzężenia są większe, niż widzimy, ile że kraje, w których to wyznanie zapanowało, odznaczają się brakiem tolerancyi i prześladują surowo próby wytworzenia kościołów nowych.

Przypatrując się dążnościom, które przedstawia katolicyzm francuzki, dostrzegamy podwójny prąd rozwojowy — jeden, właściwy wsiom, drugi—ludności miejskiej. Tamten zmierza ku uwstecznieniu wyznania i posiada za sobą sympatyę całego kleru aż do najwyższych dostojników; ten znów ostatni usiłuje wytworzyć, jeżeli już nie nową religię, tedy przynajmniej oprzeć chrześciaństwo na innych, demokratyczniejszych zasadach.

Trudno wyznaczyć wszystkie czynniki, składające się na uwstecznienie katolicyzmu. Lingwista-etnograf francuzki, którego nazwisko przytoczyliśmy, na zasadzie całego szeregu wymownych zestawień etnograficznych, przychodzi wprost do wniosku, że w ręku jezuitów i ultramontanów chrześciaństwo zmierza ku najniższemu gatunkowi fetyszyzmu. I zaiste, dosyć przytoczyć zbiory francuzkie pieśni kościelnych na nutę śpiewek światowych (niemal operetkowych), bilety drogi żelaznej do nieba, loterye dla wybawienia dusz z czyśca, relikwie w rodzaju łzy Chrystusowej, wylanej na wieść o śmierci Łazarza, mleka Bogarodzicy i jej grzebienia, wina z Kany Galilejskiej, oraz liczne inne podobne szczegóły i porównać je, jak to czyni Vinson, z obrzędami fetyszyzmu brahmańskiego lub afrykańskiego, żeby zrozumieć przepaść, ku której stacza się nieznająca żadnego kultu i fetysza nauka najważniejszego twórcy i prawodawcy chrześciaństwa — apostoła Pawła. A przecież popieranie tego uwstecznienia spoczywa w interesach materyalnych ultramontanizmu! Trzeba niezapominać, jaką przysługę oddaje przesądność legitymistom francuzkim podczas wyborów. W latach wyborczych (1876, 1881, 1885) porusza się wszystkie sprężyny fetyszyzmu. Wypuszczano broszury religijno - polityczne; zalecano odprawianie nowen dla wybłagania zwycięztwa: wreszcie, dla przeciwdziałania urokowi śpiewów politycznych, stworzono własne (np. „Allons, enfants de l'Evangile“), dla których skradziono melodyę Marsylianki. Lecz daleko szkodliwszemi są wyzyskiwania łatwowierności w celach zysków. We Francyi krążą modlitwy, drukowane złotemi literami a napisane przez samego Chrystusa; jedna została znaleziona niby przez siedmioletniego niemowę, który przy jej tłomaczeniu otrzymał dar słowa. Są w Paryżu całe ulice, zapełnione sklepikami, sprzedającymi różne modlitwy dla zażegnania kolek, urządzające loterye dla wybawienia dusz z mąk czyśćcowych, drukujące rozmowy dla

*) *Les religions actuelles.* 1888.

---

na wieki. Dreszcz przebiegł mi po ciele, gdy pomyślałem, że los mój mógłby być podobny i że bez butelki z wodą moje kości byłyby w towarzystwie jego. Wyobraźcie więc sobie teraz moje przerażenie, gdy na miejscu, na którem spałem, znalazłem swą butelkę próżną. Zapomniałem ją dobrze zatkać — i oto znajdowałem się o kilka godzin od obozowiska, bez kropli wody. Ale nie było czasu na skargi. Odarłem strusia ze skóry, związałem pióra moje z piórami umarłego buszmana i jeszcze przyszła mi myśl zabrania na pamiątkę jego czaszki. Zebrawszy te łupy i zarzuciwszy strzelbę buszmana na jedno ramię, swoją na drugie, tak opakowany ruszyłem w drogę.

Minęły już te czasy, kiedy w handlu piórami strusiemi funt po 40 — 70 f. szt. (400—700 rs.) można było dorobić się majątku; teraz bowiem, od zaprowadzenia sztucznej hodowli tych ptaków na południu (Kap), funt kosztuje zaledwie 5 — 10 f. szt. Pióra dzikich strusiów poznaje się po tem, że są wyrywane („krwawe“), swojskich — obcinane.

Krajowcy polują pieszo, na koniu, przebrani w skórę strusia, ze strzelbami lub zatrutemi strzałami.

...Ponieważ klacz moja była bardzo osłabiona — mówi dalej Farini — przyłączyłem się do towarzystwa pieszego, zabrawszy z sobą starego Kerta, który był tęgim myśliwym na strusie i niegdyś wybrał to sobie za główny zawód życia. Blizko cztery godziny przeczuwaliśmy się po pagórkach bez powodzenia; nareszcie spotkaliśmy tropy sześciu strusiów, między którymi — jak Kert rozpoznał — było czterech samców. Zawiadomiwszy o tem cały orszak, zaczęliśmy pełzać dalej ze zdwojoną ostrożnością—żadne bowiem zwierzę nie posiada bystrzejszego wzroku, niż struś, a buszmani tak umiejętnie korzystali z każdej kępki trawy na ławicach piasku, że wiedząc, gdzie się znajdują, wcale ich dojrzeć nie mogłem. Nakoniec dotarliśmy do strusiów. Ja miałem stanąć za drzewem, stojącem na jednym końcu doliny, a buszmani zajść od drugiego. Przypełzałem do wskazanego miejsca. O 500 kroków stały przede mną wspaniałe ptaki, skubiąc trawę; nie posunęły się i zaczęły wietrzyć, jak gdyby zauważyły nieprzyjaciela. Daremnie szukałem oczami Kerta i buszmanów; już sądziłem, że zmylili drogę. Strusie powoli zbliżały się do mnie i stanęły w odległości 100 kroków. Trudno było powstrzymać się od strzału, palec drżał mi na cyngli, gdy skierowałem lufę do przedniego samca, ażeby na wszelki wypadek być gotowym. Nagle runął on na ziemię i jednocześnie rozległ się huk. Zanim zdążyłem wycelować w głowę innego ptaka, zagrzmiała druga strzelba, a po niej moja. Strusie zmieszały się i pozostawiwszy na piasku jednego, uciekły; posłano za nimi kilka kul, ale z niewiadomym skutkiem. Pobiegłem do zabitego ptaka, wyrwałem mu pióra i ściągnąłem zeń skórę dla przygotowania wabia. W tejże chwili usłyszałem nowe strzały w kierunku, w którym strusie uciekły, a wkrótce ujrzałem dwu towarzyszów z długiemi piórami u kapeluszów. Dobili oni jednego, postrzelonego przez Kerta, który z niego ściągnął skórę. Oświadczyli mi, że dla wabienia strusiów nie będą używali ich skóry, lecz pokrycia z trawy i piór, gdyż buszmani mylą się i często strzelają do ludzi.

Wracając, Jan skarżył się, że obecnie polowanie na strusie już nie jest tak zyskownem, jak dawniej, gdy jeszcze nie było oswojonych.

— Wtedy we dwu z buszmanami przez sześć miesięcy zarabialiśmy około 4,000 f. szt. Pióra kosztowały po 40 f. szt. za funt a nadto każdy ptak przynosił jeszcze około 25 f. szt. Teraz cały, zupełnie upierzony wart 7—8 f. szt. Ale sami jesteśmy temu winni, bo łapaliśmy młode i sprzedawali w koloniach. Przez jeden rok złowiliśmy 10 gniazd, tj. około 120 ptaków, każdy przyniósł nam 10 f. szt.; tych pieniędzy już nigdy nie zobaczymy. Tom Jones i jego

utrzymania „niewinności,“ bardziej wyuzdane niż wiele piśmideł lubieżnych, rozszerzające obrazy w rodzaju kopii z serca św. Teresy, które spoczywa w jakiemś klasztorze, nosi ranę, zrobioną przez serafina ostrem narzędziem i rośnie— autentyczność faktów poświadcza rzeczywiście istniejący doktór medycyny... W Lourdes powstała cała ulica, w 1880 liczono na niej przeszło 97 sklepików, trudniących się takiem kramarstwem, które dochodzi nawet do fabrykowania bułek, pasztetów i pastylek — na świętej wodzie.

Wszystko to dzieje się za wiedzą kleru, a nawet pod jego przewodnictwem. Że katolicyzm podąża w kierunku fetyszyzmu afrykańskiego, są jeszcze inne powody — środek ciężkości przenosi się bowiem coraz bardziej na terytorya misyjne, i on sam musi się przystosowywać do wymagań nowych wyznawców. Lecz jednocześnie, jako oddziaływanie przeciw skreślonemu uwsteczniarnianiu, powstają prądy inne, wypowiadające posłuszeństwo urzędowemu dogmatyzmowi, zwłaszcza wśród inteligentniejszych warstw miejskich. Publicysta, od którego zapożyczyliśmy powyższe fakty, zaznacza, iż w ostatnich czasach we Francyi ukazało się mnóstwo książek i nawet wydawnictw peryodycznych, których autorzy, ludzie głębokiej wiary, poszukują jakiegoś rozwiązania dla niepokoju, ogarniającego ich na widok postępków i dążeń Stolicy apostolskiej. Czytamy tu protest przeciw gwałceniu jednostkowej swobody wyznawców ze strony duchowieństwa, despotyzmowi wyższych władz kościoła, zamykaniu oczów na żądania społeczne i wyniki nauki; spekulacyi, rozwijanej przez kler i prowadzącej do fetyszyzmu murzyńskiego. Jedni są niezadowoleni z powodu wszelkiego wyrugowania inicyatywy i swobody prywatnej w wylewie uczuć religijnych; inni, zdemokratyzowani przez prądy chwili, żądają oparcia hierarchii na zasadzie samowładztwa ludowego wiernych. Są i tacy, którzy posuwają się do stworzenia nowej religii, zgodniejszej z nauką. Tu zwracają na siebie uwagę przedewszystkiem teofilantropi, których sekta liczy obecnie we Francyi pokaźną liczbę 85,000 wyznawców, lubo sformowała się zaledwie w 1882 r. W rzeczywistości jest to wznowienie religii Rozumu, powstałej w r. 1795, a rozpędzonej przez konsulat w 1801. Wyznawcy są najczystszej wody filozofami-deistami. Wychodząc z wyników nowoczesnej wiedzy, przyznającej istnienie dziedziny niepoznawalnego, godzą wiarę z nauką. Ich zdaniem, istnieje jakaś pierwotna zasada bytowa—mniejsza czy ją zowiemy Naturą, Duchem, Materyą. Raz tygodniowo zbierają się w celach rozmyślania nad zagadkami niepoznawalnego, wysłuchania nauk moralnych, złożenia dziękczynień przyczynie bytu. Z oznak kultu zachowali jedynie ołtarz ofiarniczy, na którym, stosownie do pór roku, składają już kwiaty, już owoce. Przypuszczają nieśmiertelność duszy i wyklinają wszystkie klerykalizmy wraz z nietolerancyą religijną i sporami teologicznymi. Wzajemnie zowią się braćmi i stawiają za cel powszechne braterstwo. Zamiast świąt swych poprzedników z 1795 r. — Sokratesa, Wincentego à Paulo, Rousseau'a i Washingtona — ustanowili cztery inne: młodości w maju, związku małżeńskiego w czerwcu, ojczyzny w rocznicę wzięcia Bastylii i starości w grudniu. Zresztą Francya w ostatnich czasach widziała wiele sekt pokrewnych. W 1852 r. zamknięto „pierwotny kościół chrześciański.“ Odrzucono tu zdolności twórcze bóstwa, lecz przyjęto boga, bezustannie podlegającego przetwarzaniu w pojedynczych dziedzinach swego olbrzymiego organizmu. Podstawą religii są objawienia, wysnute przez mędrców hinduskich, chaldejskich i judejskich; w ich liczbie pomieszczono i Chrystusa. Wyklęto hierarchię, obrzędy i dogmaty. Na podobnem stanowisku stali i „katolicy francuzcy,“ rozproszeni w 1842—1845. Obok powyższych prądów, odrzucających dogmatyczną stronę, wśród wierzących podnoszą głowę inne, rozprawiające się jedynie z obrzędową i hierarchiczną. W liczbie reformatorów najbardziej znanem jest nazwisko ojca Loysona. Żądają one oddzielenia kościoła od państwa, utrzymywania duchowieństwa przez wyznawców w sposób prywatny, wybieralności duchownych i poddania się wszystkim obowiązkom państwowym, niezależności oddzielnych gmin religijnych od siebie itd.

Prądy w rodzaju teofilantropijnego ogarnęły jednostki, w których cała religia sprowadziła się jedynie do bogobojnego uczucia wobec zagadek niepoznawalności. Z kultów, obrzędów, dogmatów wytrwała jedynie wiara w jakąś zasadę nieznaną bytu. Bezwarunkowo, jest to swego rodzaju religia — poniekąd ubóstwianie natury. Ruch to postępowy i dodatni w stosunku do teraźniejszości. Z jego zwycięztwem wszystko sprowadziłoby się do rozpamiętywania wielkości przyrody i usymbolizowania czci ku niej w kilku obrzędach. Atoli jednocześnie z nim ukazują się liczne dążenia, pełne dziwactw, przesądów, arlekinady i będące przedewszystkiem wyrazem protestu przeciw szablonowości, w którą wtłoczono uczuciowość religijną. Istniejące wyznania, pod groźbą rozprzężenia, muszą regulować wybuchy uczucia dowolnego. Nie wszystkie wszakże natury pozwalają się wtłoczyć w te ramy uporządkowanego i ostrzyżonego po filistersku dewoctwa. W proteście przeciw takiej niewoli czerpią swe źródło różne związki czystości, armie krzyża, zbawienia, pana zastępów, deklamatorów itd. Na zborach jedni tańcują, drudzy śpiewają, gestykulują, opowiadają o swych widzeniach. Jednostka wyzwala się z pod formalistyki obrzędowej. Indywidualizm zwycięża i w sferze wyznania. Z tego punktu należy rozpatrywać i kilkomilionowy ruch spirytystów, przedstawiający całą gamę typów, od szarlatanceryi i zabobonów do naukowego mistycyzmu Crookesów i Wallaceów. W sądach o nim wychodzi się zwykle z fałszywego stanowiska, gdyż rozpatruje się go w przeciwstawieniu do wiedzy pozytywnej, zamiast, jak należałoby czynić, do urzędowych wyznań. W porównaniu z niemi jest on postępem, gdyż, zawierając nie większą ilość przesądów, jednocześnie zupełnie indywidualizuje i uprywatnia religię. Analogiczne pierwiastki mistyczne służą za podstawę i budyzmowi teozoficznemu, który również poczyna szerzyć się w Europie.

Czerpaliśmy fakty głównie z Francyi. Lecz podobne zjawiska i w stopniu daleko większym oglądamy w Anglii, Szwajcaryi i Ameryce, słowem wszędzie, gdzie ustawa państwowa nie staje na zawadzie. W łonie istniejących kościołów drgają pierwiastki rozwojowe, dążące ku rozerwaniu jedności na drobne grupy wyznawców, uprywatnieniu religii i zmienieniu strony dogmatycznej, hierarchicznej i obrzędowej. Ostatecznym kresem w tym rozwoju są sekty w rodzaju teofilantropów, podobno nader liczne w Anglii i Ameryce.

W każdym razie potomkowie nasi będą świadkami ciekawego procesu rozkładowego.

K. R. Żywicki.

---

towarzysze sprzedali w tym samym roku 200 młodych ptaków. Dzięki temu rolnicy w koloniach zaopatrują rynek, my zaś dostajemy około 2 szylingów za pióra, chociaż pióra dzikich strusiów są lepsze i lepiej płatne, jako świetniejsze i żywsze. Krwawe odrazu można poznać.

— Co to znaczy pióro krwawe?

— Które z krwią zostało wyrwane; oswojonym strusiom tego nie czynią, gdyż takie pióro nie odrasta. Znam wielu myśliwych, którzy zbogacili się w jednej wyprawie: teraz posiadają wielkie dobra, tysiące owiec i bydła. I ja bym do tego doszedł, ale wdałem się w spekulacye i wszystko straciłem.

Powróciliśmy do obozu, gdzie przygotowano nam pieczyste. Niczego przyjemniejszego w życiu nie jadłem. Smakiem przypomina mięso strusia zarówno ptasie, jak zwierzęce.

Gdy spokój cmentarny zapanował w obozie a księżyc jak lodowa tarcza odbijał się na sklepieniu nieba, zbudziło mnie jakieś mruczenie, podobne do ryku, tylko że tony były krótsze i szybsze.

— Lew niedaleko — szepnąłem.

Ryk się ponowił a moi towarzysze odpowiedzieli nań śmiechem.

— Ten lew nie kąsa — rzekł Jan — ale ma pióra.

— Jakto?

— I znosi jaja. To jest struś.

Nie mogłem pojąć, ażeby struś taki głos wydawał, nie sądziłem nawet, ażeby wydawał jakikolwiek. Był to ryk dzikiego zwierza, który słyszymy przy klatkach menażeryi.

— Jak daleko ptak być może? — spytałem. Zapewne blizko, chodźmy, księżyc jasno świeci.

— Nie trafisz go pan. Zresztą byłoby niebezpiecznem, gdyż niezawodnie w trawie czatuje na niego lew, który się na pana rzuci. Zaczekajmy do jutra.

W tej chwili nadszedł Suku, jeden z buszmanów, który objawił chęć wyprawienia się na strusia z łukiem i strzałami.

— Niech idzie — rzekłem — a jeżeli go upoluje, dostanie jedwabną chustkę na głowę.

Buszman znikł w trawie, w którą się wśliznął, jak tygrys.

Ptak wydawał ciągle swój szczególny ton; wkrótce usłyszałem drugi, ale nie tak mocny, prawdopodobnie samica mu odpowiadała. Trwało to ze 20 minut — wreszcie głosy ucichły. Kiedy rozmyślałem, co się stało z Suku, czy zginął, czy ptaka odstraszył, stanął on nagle przede mną, jak gdyby z ziemi wyrósł. Usta jego drgały uśmiechem. Mimiką objaśnił mnie, że naśladując głos strusia, zwabił go i zblizka wbił mu jedną a potem drugą strzałę. Skończywszy opowiadanie, położył się spać. O wschodzie słońca mieliśmy odszukać zabitego strusia.

Gdy się rozwidniło, przez ławice piaszczyste i wgłębienia poszliśmy za śladem. Tropy ginęły nam ciągle, ale Suku szybko je odnajdywał. Przy paru krzakach pokazał on mi, jak ptak stanął i usiłował zetrzeć strzałę, której szczątki istotnie nieopodal leżały. Zatruty wszakże, haczykowaty koniec pozostał w jego ciele. Po trawie i zaroślach rozpoznaliśmy, że pobiegł kilka stóp, potem zboczył, wreszcie zaczął szaleć. Szedł dalej, chwiejąc się — co Suku naśladował ruchami człowieka pijanego, nakoniec znaleźliśmy go martwego. Przed śmiercią widocznie tarzał się rozpaczliwie, gdyż trawa była naokoło zgnieciona. Żadna strzała nie zraniła go śmiertelnie, ale trucizna przemogła.

Struś, zabrany pisklęciem oswaja się bardzo łatwo: chodzi swobodny z ludźmi i nie wraca do pustyni, pomimo że wyrosły dziko jest jednym z najpłochliwszych ptaków.

(D. c. n.)

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Teodor Jeske-Choiński: *Nad Wartą*. powieść. Kraków, 1888.

Takie bolesne operacye, na ciele narodu dokonywane, jak zdzieranie z niego własnej skóry i wtłaczanie gwałtem w cudzą— są dla powieści żyłą złota, z której prawdziwy talent potrafi nieraz wydobywać wielkie bogactwa; są to źródła dramatu, z których można czerpać i czerpać tak długo, aż... tryśnie nowe i w umysłach milionów jedną goryczą zamieni na drugą.

Hasło „wytępić!" zastosowane do polaków przez niemców, dało już naszej literaturze kilka udatnych nowel, a sztukom pięknym parę szczęśliwych motywów. Ostatnie z opowiadań, na tem tle osnute przez p. Choińskiego, mamy właśnie przed sobą.

Widzimy tam urzędnika pruskiego w poznańskiem miasteczku Pleszowcach, jak pełen bojaźni bożej i niemieckiej akuratności, spełnia obowiązki kalkulatora w sądzie a obowiązki porządnego i kochającego męża i ojca żarliwej polki—w domu. Jest on, właściwie mówiąc, sam niemcem bardzo świeżej daty, choć na utajeniu istotnego swego pochodzenia słowiańskiego zależy mu bardzo i nawet nazwisko swoje zmienił z „Rożycki" na „Ruhsitzke." Dzieci, córka dorosła i synek chowają się pod okiem matki, w duchu prawdziwej swej narodowości a narzuconą im zzewnątrz serdecznie nienawidzą. Dziewczyna wychodzi za poczciwego jakiegoś, czystej krwi szwaba i ma uzasadnione widoki wraz z niezłomnem postanowieniem — rdzennego przepolszczenia go pod swym pantofelkiem. Słowem duch w rodzinie panuje taki, obok wzajemnej tolerancyi i zgody małżonków, jak gdyby żywioł germański był w nim jedynie szyldem, godłem urzędowem, nie każącem bynajmniej czystego, rasowego tła.

Nastrój ten i cechująca go harmonia nagle zaczęły się psuć. Malcowi, uczęszczającemu do szkół, towarzysze zaczęli dokuczać przycinkami, obsypując go szczodrze wyrażeniami, jakie tradycyjna antypatya do niemców stworzyła u ludu naszego. Bolało go to srodze i wywoływało zemstę a za nią i kary szkolne. Po raz pierwszy ojciec Ruhsitzke doznał przykrości z powodu swego nazwiska i oficyalnej narodowości, po raz pierwszy kwestya ta zaniepokoiła jego dom a stawała się tak natrętną, i chłopiec tak uporczywie trwał w niechęci do przezwiska „szwabski placek" itp., że go trzeba było wywieźć i oddać do gimnazyum.

Ale na tem nie koniec. Przyszły wkrótce zmiany, które miały jeszcze poważniej zasępić czoło p. Ruhsitzke. Oto na miejsce świeżo zmarłego dyrektora sądu, osobistości godnej i kochanej, wyższe sfery przysłały placówkę niemiecką, najwierniej Hartmanowskiego stempla, i całe miasto uczuwa wnet nowy prąd. Instytucye rządowe zaczęły zarażać się, jedna od drugiej, żołnierską karnością, pruskiem junkierstwem i prześladowaniem wszystkiego co polskie. Młokos-dygnitarz, który tę nową erę stworzył, poniewierał podwładnymi, w sposób otwarty i bezwzględny żądał bezwzględnego serwilizmu, tak iż rychło zraził sobie samych niemiaszków, dotąd żyjących w przykładnej zgodzie i miłości z kolegami odmiennego szczepu. Ruhsitzke odgadł, co mu grozi, i podwoił swą sumienność i pracowitość, ażeby zwierzchnikowi nie dać najsłabszego powodu do donosów. Nie uniknął jednak złowrogiej konieczności. Zaczęto go szpilkować delikatnie, ale dotkliwie; wyrzucać polskość w wychowaniu domowem i wreszcie jawnie domagać się usunięcia jej. Wówczas stała się rzecz niespodziewana. Nieposzlakowany w posłuszeństwie swem urzędnik, niemiec, obzierający się trwożliwie dokoła, gdy ktoś mówił obok niego „o polityce"—jął nagle popisywać się językiem, którego tylko w domu używał, zuchwale i wyzywająco spoglądać na szefa i dawać mu na germańskie propozycye odpowiedzi czysto polskie, pełne godności własnej i stanowczości.

Słowem iskry oddawna stłumiono, wybuchły pożarem.

Różycki mówi do dyrektora sądu: „Wychowano mnie na niemca, czułem się niemcem, byłem nim, dopóki wierzyłem w humanitarne cele, w szlachetną tolerancyę, w dążenia cywilizacyjne potomków Armina... przyszłatem do was szczerem sercem, choć mnie krew w inną ciągnęła stronę. Tę wiarę rozwiały ostatnie miesiące. Zaczynacie siać nienawiść, więc zbierajcie nienawiść. Więcej takich gorliwców, jak ty, panie dyrektorze, a odrodzi się, odżyje więcej takich, jak ja..."

Naturalnie i tymrazem, jak we wszystkich podobnych, z walki Goliata z Dawidem, nie Dawid wyszedł zwycięzcą. Ruhsitzke wraz z prawdziwem swem, polskiem nazwiskiem, o które na zakończenie urzędownie poprosił, dostał i translokacyę. Dla chleba cios ten wytrzymać musiał; pojechał więc na obczyznę, jak na wygnanie, a pewnego zimowego wieczora, gdy spotkawszy się z rodakiem i dawnym przyjacielem, teraz towarzyszem takiej samej niedoli, wrócił z dymiącą się czupryną na noc do domu, zaniemógł ciężko i już z łóżka się nie dźwignął. Umarł, i umarł polakiem gorętszym od wielu, którzy nigdy skóry niemieckiej nie przymierzali.

Takeśmy się przyzwyczaili już do renegacyi poznańczyków, którą chyba tylko z renegacyą ladacznicy, idącej na utrzymanie do bogatego cudzoziemca — porównać można, że p. Rożycki razem z swoją żoną i dziećmi, budzi w nas przedewszystkiem uśmiech ironii lub politowania dla idealizmu autora, a cała powieść wydawałaby się szowinistyczną obroną narodowości, gdyby nie było w niej dobrej charakterystyki robót germanizacyjnych, Brennusowego brutalstwa i podłości, które burzą krew w żyłach czytelnika i niejednego może niedokończonego odszczepieńca na prawą drogę nawrócą.

Jeżeli wszakże ten odszczepieniec będzie bardziej krytyczny, tak wielce znowu wzorem Różyckiego zbudować się nie da. Zobaczy w nim bowiem człowieka, który potrafił być wszechstronnie prusakiem, w legitymacyach, np. przy zapisywaniu syna do szkół, podawał się za niemca, a tylko bardzo pokrzywdzony w prywatnych swych uczuciach i zgorszony w ogólnych zasadach prawości i liberalizmu, *przystał* do polaków. Jest to szlachetny oponent, szermierz słusznej sprawy, ale nie polak. Sam p. Choiński powiada, że dopóki bohater jego wierzył w szczytne posłannictwo teutonów — lgnął do nich. O ile mi wiadomo, wierny syn danej ziemi, kocha ją niezależnie od tego, czy stoi ona na niższym czy wyższym szczeblu umysłowym i cywilizacyjnym.

Ale jakim to polakiem staje się nagle p. Rożycki! Gotów jest dyrektora wyzwać na pojedynek; gdy mu odpowiada, ręka mimowoli dotyka biodra, jak gdyby chciała ująć głownię szabli. Z pod niemieckiej pokrywy wyłażą odrazu wszystkie „cnoty," cała buńczuczność i fantazya szlachecka-rycerza, jak gdyby wykrojonego z powieści Sienkiewicza, choć nic ma ani wzmianki o tem, czy Rożycki wywodzi się od karmazynów czy od szewców. Prusak wszędzie tchórz — polak wszędzie odważny; tamten wiecznie głupi — ten zawsze mądry, zwycięzki w szermierce słownej czy orężnej. Gdyby p. Choiński uważnie przeczytał np. *Placówkę* Prusa, przekonałby się, że niemcy podbijają nietylko pięścią, ale co gorsza, bazyliszkowem wkradaniem się w łaski przy pomocy lepszej tysiąckroć organizacyi życia.

Piękna to rzecz budzić w czytelniku zapał patryotyczny, ale niebezpieczna podsycać narodową zarozumiałość i lekceważenie przeciwnika o tyle potężniejszego.

Cała owa rycerskość, którą p. Choiński tak tendencyjnie przeciwstawia niedźwiedziej naturze prusaka, ma jeszcze inny rys zaznaczenia godny, ale ten jest już całkiem śmieszny. W bohaterze odżywa polak dzięki *dziedziczności*. Krew to przodków ustami jego nagle przemówiła — i ta krew właśnie ze swą niespożytością stanowi kwintesencyę powieści. Śmiało powiedzieć można, że żaden z pisarzów, rzuconych we wspólny dół, który autorowi podobało się nazwać „ideałami powieści pozytywnej," nie wyzyskał tak szeroko i wyłącznie niemal zasadniczej tezy przyrodniczego pozytywizmu!

Jeżeliby więc kto kiedykolwiek wątpił o tem, że fabrykanci pewnych wyrobów literacko-polemicznych sami siebie w lustrze opluwają — niechaj weźmie do rąk *Nad Wartą* — a przekona się niebawem.

Tam też zobaczy zarazem, że można hojnie sypać frazesami o „postępie i świetle," o „liberalizmie," „humanitarnych celach"— a jednocześnie z ignoracyi, paczenia cudzych myśli i tym podobnych materyałów lepić szaniec, który się zwie *neokonserwatyzmem*.

Niech mi p. Choiński wybaczy ten maleńki odskok, ale musiałem przecież wpleść utwór, o którym mowa, jako ogniwo w łańcuch jego literackiej karyery. Z zestawienia ich prócz niekonsekwencyi i ten jeszcze wypływa wniosek, że autor ma dużo ognia i rozpędu, ale mało namysłu. *Nad Wartą* zalety te i wady bezprzecznie posiada, czyta się niezgorzej i akcyę snuje żywo i z temperamentem. A byłaby to całkiem szczęśliwa powieść, gdyby obok tego, że daje ujście uczuciom nurtującym ogół, pisaną była objektywnie, bez deklamacyi i komplementów na rachunek Teutonii, bez peżenia się i komentarzów; wówczas bieg wypadków robiłby daleko silniejsze wrażenie a całość nie przypominałaby tak dobitnie, że autor należy do niedojrzałych pomimo pełnoletności, do usamowolnionych zawcześnie przez swych popleczników.

W owym to rozpędzie — dodać muszę na zakończenie— prześlepił p. Choiński, że odpowiedzialność za śmierć Rożyckiego nie spada zgoła na niemców, ale na własną jego nieostrożność — spił się, na mróz wyszedł bez okrycia, ot, i wszystko. Chodziło jednak o to, żeby dramat zakończyć tragicznie tj. śmiercią...

Cezary Jellenta.

LITERATURA FRANCUZKA.

Naturalizm *).

I.

Jerzy Renard, profesor uniwersytetu w Lozannie, zebrał obecnie w jedną książkę trzy większe rozprawy, z których dwie drukowane były poprzednio w *Revue Nouvelle.* O szkicu, zatytułowanym „Wpływ Niemiec na Francyę po r. 1870" pisałem w swoim czasie. Rozprawa o socyalizmie, zajmująca połowę książki, zawiera przegląd obecnych stronnictw i grup socyalistycznych we Francyi i ich programów. Renard stoi na stanowisku przedmiotowem, a przychodzi do wniosku, że mylnym i na nieznajomości rzeczy opartym jest pogląd, uważający dziś jeszcze socyalizm za mglistą i nieokreśloną mrzonkę. Według niego tak zwane kajety (les Cahiers) rewolucyi francuskiej były w r. 1786 mniej opracowane i nie tak ściśle wyrażone, jak dziś, programy socyalistyczne we Francyi.

*) *Etudes sur la France contemporaine.*

Zola w liście pisanym do autora nazwał studyum jego o naturalizmie, pomieszczone na czele książki, najsumienniejszem i najściślejszem metodycznie z tych, jakie pojawiły się dotychczas we Francyi. Renard nie jest bezwzględnym przeciwnikiem naturalizmu, należy jednak do tych, którzy zapowiadają i dostrzegają obecnie zwrot w kierunku idealistycznym. Profesor z Lozanny jest współpracownikiem mało znanego jeszcze pisma *Le Semeur*, które zajmuje się siejbą tych poglądów, pod redakcyą Karola Fuster, jednego z pierwszych głosicieli odrodzenia idealistycznego.

Renard uważa realizm i idealizm za dwa nieodłączne pierwiastki sztuki. W rozwoju jej atoli jeden lub drugi przeważa. Porusza się ona między tymi dwoma biegunami ruchem wahadłowym. Ruch ten od realizmu do idealizmu i odwrotnie nie jest wszakże jedynem prawem rozwoju literackiego. Odbywa się jeszcze postępowy: literatura posuwa się wciąż naprzód, zdobywając trwałe nabytki. Zdobycze te dokonywane są zarówno na realizmie, jak i idealizmie; każdy nowy zwrot jest w części reakcyą, w części zaś dalszym ciągiem i pełniejszym biegiem kierunku poprzedniego. Romantyzm miał w sobie jeszcze niektóre cechy klasycyzmu, naturalizm w wielu względach pozostał romantycznym, nowy zaś okres idealistyczny będzie poniekąd uzupełnieniem naturalizmu. Literatura przytem nie kształci się sama w sobie, lecz w zależności, a przynajmniej łączności z innemi stronami życia społecznego. Społeczeństwo — powiada Renard — jest organizmem, którego różne części rozwijają się harmonijnie i w zawisłości wzajemnej; objawy literackie, artystyczne i polityczne, a możnaby dodać i naukowe, połączone są tajemnymi węzłami, które należy rozwikłać i odnaleźć dla zrozumienia w całej pełni objawów rozwoju literackiego.

Realizm spółczesny francuzki, który przybrał miano naturalizmu, ma oczywiście niektóre właściwe sobie cechy, zależne od całości warunków, w jakich się pojawił. Jest on przedewszystkiem świadomym, a przynajmniej stara się o to. Kładł nacisk na swój charakter *naukowy*, nazywając go „nauką zastosowaną do literatury,“ pragnął służyć przedewszystkiem prawdzie. Narzędziem sztuki stała się więc niezmordowana spostrzegawczość. Dla napisania powieści według wskazówek naturalizmu należy przedewszystkiem zbierać dokumenty i robić notaty jak historyk. Naturaliście nie wolno jest tworzyć, zmyślać, wolno mu tylko porządkować zebrany materyał. Cechą tej literatury, jak i nauki samej, miała być dalej bezstronność bezwzględna. Dzieło sztuki, w naturalistycznem rozumieniu, musi być tylko odbiciem rzeczywistości, nie zaś osobistych wrażeń i wyobrażeń autora; autor powinien w niem zniknąć, ukryć się, stać się biernem zwierciadłem.

Takie były wymagania; tu już jednak — powiada Renard — ideał odzyskiwał swe prawa, niepodobna bowiem odtwarzać rzeczywistości niezależnie od podmiotowych właściwości pisarza i artysty. Praktyka naturalistyczna nie była nigdy na tym punkcie w zupełnej zgodzie z teoryą. Zola nawet raz wyraził się, że sztuka jest rzeczywistością, widzianą przez pryzmat „temperamentu“ autora.

Naturalizm następnie, powołując się na ścisły sojusz z nauką, przylgnął jednak szczególnie do dwóch poglądów filozoficznych, materyalizmu i pesymizmu. Zola stawia sobie za zadanie zbadać w historyi Rougon — Macquartow „wezbranie żądz“ ludzkich, pragnie on malować „ludzi brutalnych.“ Mówi sam w jednym ze swych bohaterów, że „nie ma on całkiem duszy, na co oczywiście zgadzam się, bo sam tego chciałem.“ Naturalizm lubuje się w odtwarzaniu nędzy ludzkiego istnienia. W podstawie jego poglądów leży pojęcie, że wszelkie nadzieje są zwodnicze, a szczęście jest chimerą. Flaubert głosił, że wszystko prowadzi do nicości. Idealizm wpatruje się przedewszystkiem w ducha i podnioślejsze cechy człowieczeństwa; naturalizm, przeciwnie stara się widzieć w człowieku tylko ciało, zwierzę, ściągnąć go z wyżyn na ziemię, wskazać siły materyalne, które człowiekiem władną.

Należy zwrócić uwagę, że pesymizm nie jest konieczną cechą realizmu, który może być wesołym, jakim był we Francyi pod koniec zeszłego wieku. Naturalizm jednak jest pesymistycznym i w tym względzie wywodzi się wprost od smutnej melancholii i zniechęcenia Musseta. Znamię to pozostaje w sprzeczności z teoryą naturalizmu i nauką, na którą się powołuje, a która nie jest związana nieodzownie z beznadziejną goryczą.

Powyższe cechy musiały się przejawić i w wyborze tematów. Naturalizm odtwarzać winien to, co go otacza, czego się dotknąć można. Precz więc z powieścią historyczną; jedynie żywe modele mogą być przedmiotem badań. Z założeń naturalizmu wypływa następnie, że jest on spółczesnym, bo maluje tylko rzeczywistość; jest również narodowym, bo tylko własny naród artysta zazwyczaj widzi wkoło siebie i znać może dokładnie. Romantyzm chętnie był „egzotycznym,“ to jest uciekał do krajów nieznanych, obcych, budzących podziw i przedstawiających stosunki niezwykłe; naturalizm gani tego rodzaju wycieczki, jako fantastyczne i każe się trzymać oburącz narodowego i miejscowego gruntu.

Zgodnie ze swemi dążeniami i pesymistycznym charakterem chętnie odsłania rany społeczne i cierpienia ludzkie. Ażeby je odnaleźć w całej grozie i ohydzie, spuszcza się na dno społeczeństwa; przeniknął on tam nie pierwszy, pierwszy jednak żywo zainteresował obrazami, które wydobył i jaskrawo oświetlił; dodać jednak należy, że szukał na tem dnie nie tyle warstw i zagadek spółczesnych, ile człowieka, pierwotnego do ziemi i nędzy. Zola w *l'Assomoir* przedstawił pijaka, w *La Terre* chłopa francuzkiego ze wszystkimi jego pozimymi instynktami, w *Germinalu* jednak malował już klasę górników, poruszaną silnem pragnieniem przeobrażeń socyalnych.

Idziemy jednak dalej. Sztuka ograniczała się dotychczas na malowaniu postaci, nie kusząc się o ich wyjaśnienie. Naturalizm, przeciwnie, stara się kreślić zawsze rodowód charakterów, ucieka się nawet do faktów dziedziczności, człowieka stara się wytłomaczyć wpływami rodziny, otoczenia, warstw, rasy. I w tym względzie zresztą jest materyalistycznym i deterministycznym. Usiłowania te rozszerzają zakres literackiej twórczości i są trwałym nabytkiem. Determinizm jednak, jak wiadomo, zapomina o woli ludzkiej, która będąc wypadkową różnych czynników, sama z kolei staje się czynnikiem, sprowadzającym dalsze następstwa. O tem jednak wiedzieć nie chce ani filozoficzny determinizm, ani naturalizm. Stąd ten ostatni wpada w fatalizm, pokrewny determinizmowi: charaktery miękie, niezaporne, niesamodzielne, ulegające własnym skłonnościom fizyologicznym i otoczeniu, panują wyłącznie prawie w literaturze naturalistycznej. Typy jej powieści cierpią na chorobę woli, co zresztą jest poniekąd chorobą wieku, a raczej epoki. Renard występuje przeciwko temu pomijaniu woli, jako czynnika naszego postępowania i zaznacza, że pobudki naszych czasów dają się podzielić na dwie grupy, umysłowe i moralne, oraz fizyczne i materyalne. Zarówno jedne, jak drugie, są naturalne. Naturaliści zwracają wyłączną prawie uwagę na drugą kategoryę pobudek; wolą malować żądze, pociągi zmysłowe, temperamenty, niż charaktery.

W skreśleniu typów ludzkich, szczególniej zaś namiętności, są raczej fizyologami, niż psychologami. Leży w tem niezaprzeczona ich zasługa; zagłębiwszy się bowiem w sferę mało zbadaną i poznaną, odkryli wiele nowych stron człowieczeństwa; zatonąwszy atoli w fizyologii, zapomnieli o psychologii, stali się jednostronni, wykazali wiele rażących braków w swej analizie i malowaniu charakterów ludzkich.

Zarzucono naturalistom niemoralność, zarzut to jednak niezupełnie uzasadniony. Nie kreślili oni wprawdzie pociągającego i powabnie stron pięknych, szlachetnych, ale przedstawiając nagość i nędzę ludzką, nie starali się je uczynić ponętnemi; przeciwnie, ich obrazy budzą raczej uczucie odrazy, wstrętu, a nawet grozy, naprowadzają na poważne rozmyślania i pouczają. Wrażliwy czytelnik sam może wysnuć z nich dla siebie wskazówkę. Nie należy jednak twierdzić, że naturalizm zawsze utrzymał się na tej surowej wysokości i bezstronności patologa.

W teoryi przeciwny jest kreśleniu typów wyjątkowych i niezwykłych. Często jednak przeniewierza się tej zasadzie. Wszedłszy raz na drogę objawów fizyologicznych, zwrócił się ze szczególnem upodobaniem ku różnym zboczeniom patologicznym, ku histerykom i maniakom, kreśląc te fizyologiczne potworności z równem zamiłowaniem, z jakiem romantyzm odtwarza charaktery czarne i idealne.

Osobliwem jest w naturalizmie pojmowanie miłości, która pozostała główną osią powieści. Miłość dla niego jest brutalnym popędem płciowym, który popycha samca ku samicy. Ten pogląd wprowadził do powieści na miejsce naczelne ladacznicę, kobietę zmysłową. Ponieważ zaś miłości tak pojętej wydzielono szerokie miejsce w utworach szkoły, stąd naturalizm stawał się niejednokrotnie „nadnaturalizmem“ (*Nana*).

Wprowadził on znaczące zmiany w budowie i stylu. Zmiejszając udział wyobraźni w tworzeniu i zajmując się głównie wiernem odtworzeniem rzeczywistości, porzucił zawikłaną i złożoną osnowę, intrygę, dramatyczność i przedstawienia. Opis drobiazgowy stoi na pierwszym planie; stąd powieści naturalistyczne przybierają niekiedy charakter życiorysów. Język musiał być również odbiciem rzeczywistości; wszystko, co się mówi, powinno być napisane; naturalizm z lubością nawet wprowadził wyrażenia nagie i dosadne, ostre i brutalne, chętnie kładł na nie nacisk, akcentował je nawet.

Jest to o tyle zrozumialszem, że pisarz naturalistyczny stara się przedewszystkiem działać na zmysły, na wzrok, słuch, węch. Jako kolorysta jaskrawy, rzuca na swą pisarską paletę barwy i plamy równie śmiało, jak „impresyonista“ w malarstwie, mniej się troszcząc o poprawność rysunku. Właściwość ta jednak wiedzie niekiedy do ugania się za wyrafinowaną ozdobnością, jak u Goncourtów, mieszaninę brutalności i wycackania. Dziwnymi w tej szkole są wylewy liryzmu i poezyi. U Zoli liczne znaleźć można tego przykłady.

Charakterystykę swą streszcza Renard w słowach następujących: „Naturalizm stawi sobie za zadanie odmalowanie dokładne obyczajów spółecznych; usiłuje być naukowym; pragnie być bezstronnym i nieosobistym.“

W drugiej połowie swego studyum stara się autor wyjaśnić początki naturalizmu, scharakteryzować otoczenie, które go wydało i wykazać jego związek z innymi objawami społecznymi; zaznacza wreszcie zwrot w kierunku idealistycznym. Poznamy jego wywody w artykule następnym.

E. Przew.

TEATR.

Melpomena na letniem mieszkaniu.

Podczas skwarnych miesięcy lata i Melpomena za przykładem mieszkańców wielkich miast chętnie wyfruwa z pośród rozpalonych ścian olbrzymich, koszarowych teatrów. Z radością poleciałaby na wieś i tam spokojnie oddałaby się sielankowym rozkoszom. Materyalne stosunki atoli — te zaś dzisiaj żelazną obręczą konieczności uciskają nawet i delikatne ciało muz — nie pozwalają na takie wakacye. Musi tedy ona pozostać w Warszawie, w tem wielkiem mrowisku ludzi, ludzkich spraw, radości i smutków, zwątpień i zachwytów, ulicznego kurzu, błota i zabójczych wyziewów. Zamiast wysypiać się spokojnie na świeżej trawie, w cieniu rozłożystych drzew, poprzestaje biedaczka na ogródku, wtłoczonym w głąb ciasnego podwórka; zamiast upajać się szmerem strumyka i świergotem ptasząt, mimowoli słyszy ruch i gwar uliczny, brzęk kufli i talerzy, nawoływania kelnerów i gromki głos restauratora.

Mija już sześć tygodni, jak w ogródkach owych rozsiadły się wędrowne, uboższe, mniej szczęśliwe, mniej utalentowane lub jeszcze niewprawne w swym zawodzie dzieci Melpomeny. Po zimowej tułaczce na lato zjawiają się w Warszawie. Dawniej różnie prawiono o ich zadaniu, o celach ich działalności. Jedni widzieli w nich zawiązek przyszłych teatrów ludowych; drudzy pragnęli sceny ogródkowe przekształcić na arenę popisów młodych dramaturgów; inni wreszcie twierdzili, że pobyt w wielkiem mieście przyczynia się do wyrobienia aktorów, zmuszonych grać lepiej i staranniej wobec wybrednej publiczności. Dzisiaj umilkli wszyscy, a na jaw wystąpiła prawda, stara jak świat, że celem teatrzyków ogródkowych jest szybsze lub wolniejsze napychanie kieszeni przedsiębiorców. Celu tego nie wolno nam ganić, boć każdy żyć potrzebuje; musimy przecież uważać na środki, którymi do niego zdążają. Środkiem owym najważniejszym jest repertuar, sztuki, które na scenach ogródkowych się pojawiają. Nas obchodzą jedynie utwory oryginalne, a niestety utworów tych pojawiła się dotąd garść szczupła. Czy dzieje się tak dla braku produkcyjności autorów naszych, czy też z powodu gnuśności dyrektorów — nie wiem.

Teatr „Wodewil,“ zostający pod kierownictwem p. Józefa Texla, wystawił dwie sztuki oryginalne: *Chrzest ognia*, komedyę w 4 aktach p. Władysława Zaręby i *Dzisiejszą Warszawę*, operetkę, której libretto napisał p. Franciszek Rajnstein. Długo, lecz nadaremnie podejmowaliśmy syzyfową pracę odgadnięcia, dlaczego *Chrzest ognia* nosi taki a nie każdy inny tytuł i dlaczego p. Zarębie podobało się nazwać swój utwór „komedyą.“ Losy szlachcica zadłużonego, a przez to zdenerwowanego tak dalece, że co chwila owładają nim gniewy tak straszne, iż chwyta za strzelbę i mierzy nią to w arendarza, to w swego wychowańca, wesołymi nie są. Śmiechu nie wywoła widok człowieka, który zamiast ratować się pracą, marnuje czas na narzekania lub groźby. Śmiać się możemy tylko wtedy — dość często, mówiąc nawiasem — kiedy autor zdradza zupełną nieznajomość stosunków społecznych. Owego dziedzica ratuje wychowaniec, oddając mu własny majątek. Lecz wspaniałomyślny ofiarodawca jest nieletnim, a p. Zaręba najwidoczniej nie wie, że prawo zabrania małoletnim czynić jakiekolwiek darowizny.

Dzisiejsza Warszawa należy do rodzaju literatury, dość bujnie u nas od lat kilkunastu się rozrastającego. Ojcem jej był Szober, a pierwszem dzieckiem *Podróż po Warszawie*. Potem poszły inne, prawie zawsze do *Podróży* nawiązywane. Lecz jeżeli *Podróż* była owocem nieprawej z Muzą miłości, to przecież kwitnęła zdrowiem i urodą. Następne płody dźwigały i piętno pochodzenia i przekleństwo kalectwa. P. Rajnstein nie był szczęśliwszym, choć związał grubą nicią pokrewieństwa utwór swój z *Podróżą*, przenosząc z tej ostatniej żywcem główne postacie. Tylko akcya toczy się w kilkanaście lat później. Och! biedny grodzie syreni, jak marnie wyglądasz w tej sztuce. Fałszywe powziąłby o tobie mniemanie ten, kto pragnąłby poznać cię z *Dzisiejszej Warszawy*. Bo kogóżby tam zobaczył? Przed oczami jego przesuwaliby się tylko bankierzy-oszuści, pankowie-wyzyskiwacze, przedajni dziennikarze, ogłupiali szlachcice, złodzieje, kobiety publiczne i wszystkie inne szumowiny wielkich miast. Nie znalazłby ani jednej postaci dodatniej, ani jednej czystej.

P. Puchniewski w „Belle-Vue“ wystawił dopiero jedną sztukę oryginalną: *Dziedzictwo Orłów*, pióra p. Adama Staszczyka. I tu także losy zrujnowanego szlachcica służą za kanwę do rozsnucia akcyi. Autor poszedł za prądem czasu i jako przyczynę upadku podał nie własne winy nieopatrznego dziedzica, lecz podstępną intrygę niemca. Wyrzucony z majętności dziedzic umiera; córka jego jednak dzięki własnym staraniom i pracy utrzymuje się na powierzchni i nie ginie. Syn służącego jej ojca odkrywa wreszcie oszustwo przeniewierczego cudzoziemca i zrujnowanej pannie zwraca w ten sposób majątek. P. Staszczyk, obeznany ze sceną, dość umiejętnie zbudował swój utwór. Dlatego też w *Dziedzictwie* nie znajdziesz takiego chaotycznego nieporządku, jak w *Chrzcie ognia*, takiego oceanu epizodów, jak w *Dzisiejszej Warszawie*. Z tematu swego umiał nietylko wydobyć kilka scen tryskających humorem i prawdą zarazem, lecz w zręczny a nieszkodzący artystycznej całości dzieła sposób potrącić strunę demokratycznej tendencyi. Myśl zbratania się z ludem i pracy dla i wśród ludu ożywia i nadaje głębszą wartość *Dziedzictwu Orłów*. Autor *Nocy świętojańskiej* i *Błędnych ogników* ma talent, powinien więc nie ustawać w pracy, lecz wzbijać się coraz wyżej. Jednym z środków niech będzie przyswojenie sobie ładnego stylu, który w *Dziedzictwie* razi błędami i niepotrzebną patetycznością.

P. Puchniewski połączył tedy w jednej osobie i przedsiębiorcę i artystycznego kierownika, szanującego sztukę i honor sceny. Nie szukał tak, jak p. Texel, utworów „kasowych,“ nie pozwolił na wystawienie takiej „naiwności,“ a nie komedyi, jak *Chrzest ognia*. Od niego samego zależy, by się utrzymał na raz zdobytym poziomie.

A. Witski.

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Salon artystyczny. Po kilku poronieniach a wielu stękaniach kolonia artystyczna w Warszawie spłodziła nareszcie biuro pośrednictwa w zakupnie dzieł sztuki. Istnieje ono od dni kilku przy ulicy Wierzbowej i stanowi jednocześnie wystawę handlową, której zwiedzanie ułatwionem zostało dla wszystkich dzięki nader przystępnym cenom. Spółce malarzów i rzeźbiarzów, co się na krok ten zdobyli, można jedynie przyklasnąć i życzyć jaknajwiększego powodzenia w konkurencyi z podejrzanym towarem wiedeńskim — ale jak dotąd żadnych zgoła przepowiedni, a nawet najluźniejszych przypuszczeń stawiać niepodobna. Nie ulega bowiem wątpliwości, że dzieła artystów głośnych i przytem dzieła wartościowe tęsknić zawsze będą do szerszych widowni, albo też z pracowni odrazu pójdą do galeryi amatora i ani na chwilę nie ozdobią skromnych ścian Salonu artystycznego, gdzie zresztą na utwory większych rozmiarów, dziś coraz częstsze, nie ma i nie może być wcale miejsca. Będzie to więc z konieczności Salonik po za Salonem głównym, przytułek początkujących, wzgardzonych, niedocenionych i gościna dla szkiców od ręki, które w przestankach poważnej twórczości narzuci ten lub ów ulubieniec ogółu.

Prawdopodobnie inicyatorowie spółki nie inaczej zadanie swoje pojmowali i dla powetowania braków jakościowych rozszerzyli znacznie zakres sztuki, przygarniając życzliwie i sztukę stosowaną do przemysłu. Oprócz więc dosyć pokaźnej liczby płócien, rzeźb, planów architektonicznych, znajdujemy w Salonie sporo malowideł na porcelanie, ekranów i galanteryi artystycznej, wyrobów bronzowniczych, stolarsko-rzeźbiarskich itp. To rozszerzenie programu, jeżeli tylko nie będzie nadużywanem przez panie zbyt rozmiłowane w... pędzlu i reporterskich zachwytach — może Salonowi wyjść na dobre.

Jak dotąd zasługują na wyróżnienie piękny „Dawid“ grający na harfie — Wiesiołowskiego; Heymana „Słodkie chwile“; Skoniecznego medalion jako projekt do pomnika; Perlego lichtarze z bronzu, pomysł dowcipny i ładnie wykonany; Kanigowskiej kopie rysunków Grottgerowskich na porcelanie; ładna paleta, okraszona kilkoma miniaturowemi scenami z życia górali kaukazkich—Leszczyńskiego; „Tancerka“—Królikowskiego, pełna wdzięku i dobrej plastyki i kilka innych. Mireckiego „Głowa Chrystusa“ — niemożliwie trywialna; Szpadkowskiego „Św. Jan“ może być również dobrze „Św. Kalasantym“ albo „Św. Nibenime;“ Gersona „Podpalacz“ naciągany i niesmaczny, choć starannie wykończony. Pani Julia Bredow między wieloma swemi dziełami wystawiła nieźle odrobiony bukiet kwiatów i owoców, przytem tak żywych, aromatycznych i soczystych jak róże, brzoskwinie i winogrona i nazwała go... „Martwą naturą.“ Kto ten obrazek kupi, niech logikę jego napisu zostawi w „Salonie.“

Orkiestra stała. Nie ma na świecie miasta, któreby tyle rozprawiało ustnie i piśmiennie o muzyce, co Warszawa, któreby tyle co ona, posiadało „wirtuozów,“ „cudownych Hofmanów,“ ogródkowych kapel, i podwórzowych szarpinerwów; ale też nie ma za granicą miasta, choćby przez pół tak licznego, któreby nie miało miejscowej orkiestry, bab, nawet dwóch, trzech i więcej. Małpując tysiące niedorzecznych zwyczajów, tego jednego naśladować i przeszczepić nie potrafimy. Panowie Łusakowski i Konopasek, niezrażeni dotychczasowemi próbami, zebrali drużynę muzyków i zorganizowali orkiestrę. Dotąd polem ich działalności był Ogród zoologiczny, gdzie dobierali utwory przeważnie lżejsze, teraz przenieśli się do Doliny szwajcarskiej, jako następcy Bilse'ów, Laube'ów i Noskowskiego, który spalił na panewce. Dotąd okazywali niemało sprężystości i energii we władaniu batutą; jak im pójdzie w programach poważniejszych i przed słuchaczami, których uwaga już nie będzie zajęta karmieniem słonia — trudno przewidzieć. Bodajby najlepiej! To na pewno można twierdzić, że luka zapełnioną być musi a pole łatwo wyzyskanem być może. Niechaj tylko restauracya nie odstrasza groźbą rabunku na niedoświadczonych, a ceny wejścia odstąpią od fatalnej tradycyi dwuzłotówek.

Wybuchy meteorytów. Wielki huk, towarzyszący spadaniu meteorytów, dotąd przypisywano powszechnie ich wybuchowi. Ostatnimi czasy jednakże przypuszczenie to silnie zostało zachwianem jeśli nie obalonem przez Daubrée'go. Wychodzi on z założenia, że w huku powyższym nie ma zgoła cech charakterystycznych dla dźwięku znanych nam ciał eksplodujących, a natomiast pochwycić się w nim daje coś przypominającego raczej odgłos strzelaniny bronią ręczną, warczenie pociągu, sunącego po szynach, a nawet dźwięk powodowany darciem płótna lub zbiorowy szum skrzydeł dzikich gęsi. Teraz znowu Hirn objaśnia zjawisko to, zarzucając całkiem słabą hypotezę wybuchów, nadzwyczajną chyżością spadku. Opiera się zaś na takiem mniej więcej obliczeniu. Kula karabinowa lub rewolwera powoduje tylko świst, dlatego, że chyżość jej nie przenosi 0,5 kilometrów na sekundę; świst ten pochodzi, jak

wiadomo, stąd, że powietrze zgęszczone, znajdujące się przed kulą w jej biegu, dokoła jej powierzchni przelatuje wstecz i zapełnia pozostawioną próżnię. Błyskawica przebiega w milionową część sekundy przeszło milę i chyżością tą wywołuje według mechanicznej teoryi ciepła temperaturę od 4—600°, która tłomaczy nam zarówno zjawisko światła jak dźwięku. Gdyby kula działowa miała podobną szybkość, to już nie świszczałaby, ale również jak błyskawica, grzmiała, a nawet dawała wrażenie błyskawicy, musiałaby bowiem sama płonąć. Owóż meteoryty nie posiadają wprawdzie podobnej chyżości; ale i ta, która jest im właściwą, mianowicie 40 do 60 kilometrów na sekundę najzupełniej wystarcza, ażeby nawet w najbardziej rozrzedzonem powietrzu wywołać nader wysoką temperaturę, tem bardziej że powstanie tej temperatury zawisło nie od absolutnej gęstości powietrza, lecz od jego szybkiej przemiany. Takie to powstawanie ciepła objaśnia nam zjawiska światła, topienia się powierzchni, odrywania się drobnych cząsteczek, zamiany ich na gazy i okrywania się potem. Na wysokości 100 kilometrów, gdzie gęstość powietrza zmniejsza się niesłychanie, meteoryt nie wydaje już odgłosu, gdyż według Saussure'a już na wysokości 4,000 metrów wystrzał pistoletowy ledwo się daje słyszeć (jako huk); ale w niższych warstwach powietrza może, stosownie do rozmiarów i kształtów meteorytu, do konfiguracyi okolicy itd., powstawać dźwięk najrozmaitszego rodzaju.

Mrówki w służbie ogrodniczej. Do mnóstwa znanych już i za wzór człowiekowi stawianych cnót mrówek przybywa, według profesora Kny jeszcze jedna, niewątpliwie ważniejsza od znanych dotąd.

Jak wiadomo, dotychczas słodycz, wydzielana przez rośliny, uważaną jest za przynętę dla owadów, które ze swej strony na łapkach swych i skrzydełkach przenoszą z kwiatka na kwiatek zapładniający pył kwiatowy i przyczyniają się tem do wyhodowania nowych i zdolnych do kiełkowania nasion. Okazuje się jednak, że słodycz owa wysącza się z rośliny i po za jej kwieciem, tj. z innych jej organów, zostaje na pozór całkiem bezużyteczną, gdyż owady miód swój tylko z kwiecia zbierają; często zdarza się to przy osadzie kolców, na ząbkach liściowych jak u balsaminów, na środkowych nerwach liści i u spodu ich; w piwonii znowu słodycz, nie ssana przez owady i nie pośrednicząca przeto w zapładnianiu, wysącza się na zewnątrz kielicha, gdzieindziej znowu wydzielina trwa i po zapłodnieniu itd.

Otóż we wszystkich tych i tym podobnych wypadkach słodycz przynęca jedynie mrówki i do żadnego innego celu nie służy.

Tak przynajmniej do niedawna utrzymywano. Ale według profesora Kny i za ten dar mrówki odpłacają się odnośnym roślinom, a to w ten sposób, iż chronią je od szkodliwych owadów i ich poczwarek. Przyrodnicy Ratzeburg i Willkomm stwierdzili już niejednokrotnie, że drzewa, na których gnieżdżą się mrówki, nie doznają żadnych szkód ze strony liszek, nawet jeżeli drzewa sąsiednie są całkiem przez żarłoczny ten gatunek zniszczone.

Niedawno zauważył Fryc Miller, że mrówki, zwabione tym pozakwiatowym miodem, i samemu kwieciu dają skuteczną ochronę przeciw innym owadom. Te i tym podobne bardzo liczne spostrzeżenia nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do pożytku, jaki mrówki przynoszą gospodarstwu ogrodowemu. Dlatego też nowy przybywa powód gorącego polecenia niezmordowanych tych stworzeń względom ogółu.

Profesor Kny idzie dalej. Proponuje on, ażeby całkiem systematycznie wciągnąć mrówki do służby ogrodniczej, zwłaszcza wobec tyle trudności i pracy nastręczającego musu oczyszczania drzew owocowych z liszek. W tym celu radzi następującą próbę. Jeżeli w ogrodzie znajdują się mrówki w znaczniejszej liczbie, wówczas należy pnie i pojedyncze gałęzie drzew więcej zagrożonych a wartościowych pociągnąć liściami skoncentrowanego roztworu cukrowego a to za pomocą długiej tyki zakończonej pędzlem, przyczem pociąganie to należy od czasu do czasu powtarzać. Jeżeli zaś mieszkania mrówek są zbyt oddalone, należy wskazać im drogę do odnośnych drzew za pomocą okruchów cukru. W ten sposób dałoby się sprawdzić, czy możnaby zaprządz mrówki sztucznie i do ochraniania korony drzewnej od liszek. *H.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika dla Mickiewicza. — Obrona „pięciu." — Podobno jesteśmy na dobrej drodze. — Sprawozdanie Kasy Mianowskiego za rok ubiegły. — Działalność izby lordów. — Nieostrożność i upór. — Zmarnowane pieniądze. — Ofiara Hirscha. — Wiersz Konopnickiej. — Za 3o-letnią pracę. — Wspaniałomyślność kolei Terespolskiej.

„Jeszcze jeden głos w sprawie pomnika dla Mickiewicza..."

Litości, szlachetny panie, tyle już „głosów" przez uszy nasze przeszło.

Niema miłosierdzia — odpowiada p. Józef z Leszna i każe nam słuchać.

Trudno, słuchajmy, dla złagodzenia cierpień, których uniknąć niepodobna, pocieszam, że autor nie jest ani krytykiem, ani artystą, ani nawet topografem, to znaczy: nie przydaje pomnikowi nowego celu, nie przedstawia nowego projektu i nie wybiera na ulicach i placach Krakowa nowego miejsca. Trzy pierwszorzędne zasługi. Mimo całej czci, jaką żywię dla nieśmiertelnego twórcy *Pana Tadeusza*, nie podjąłbym się czytać świeżych pomysłów symboliki pomnikowej, w którą wtłoczono już: postacie jego utworów, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu, konie, indyki, kury, orły, tak że niewiele brakło, ażeby zażądano kąta dla „nowokonserwatystów." Pomnik miał być encyklopedyą godeł, streszczeniem całego naszego życia, wyrazem naszego inwentarza, i kto wie, czy to jego szerokie założenie nie było główną przyczyną bezowocności dotychczasowych konkursów. Geniusz Michała Anioła nie wzleciałby w krainę wysokich natchnień, gdyby musiał dźwigać na swych skrzydłach tyle ciężarów — szlachcica, księdza, żyda, gromadę kobiet, rycerzów, marzycieli, a do tego jeszcze stado drobiu. Mniejszy kłopot z placem, ale i ten tak rozjątrzył namiętności, że dotąd uspokoić się one nie mogą. Wystawmy sobie teraz, że ktoś podaje inny projekt pomnika i inne dla niego miejsce! Przeciw podobnemu mordowaniu uwagi publicznej należałoby wnieść skargę do wszelkiej instancyi, która by je zatamować zdołała.

Na szczęście p. Józef z Leszna jest miłosierniejszym od swych poprzedników, gdyż broni tylko urzędowych akuszerów przewlekłego i nieskończonego porodu i usprawiedliwia „komitet pięciu." Według niego ciało to działało prawidłowo, a wszedlszy w układy z Riegerem, wyciągnęło całą sprawę z bagniska, w które ją prasa zanurzyła. Autor z pod maski pseudonimu sprawia wrażenie długo bitego, który teraz z kolei bić zaczął — pisma krakowskie i warszawskie za męczenie opinii, za szykany, za łatanie zuchwalstwem dziur nieznajomości rzeczy. Wzywa pomsty nieba tem śmielej, że śród owych „pięciu," ośmieszonych, oszturganych, ochłostanych, znajdował się również Matejko. Zaznaczałem w swoim czasie to świętokradztwo, ale przyznać muszę, że prasa warszawska zabezpieczyła się od grzechu wybiegiem prawdziwie talmudycznym. Położyła ona Matejkę na samym spodzie, na nim dopiero czterech jego towarzyszów, chociaż więc biła „pięciu," dostawało się tylko czterem, a mistrz krakowski jedynie słyszał wymierzane razy za „samowolę," „lekceważenie wyroku *jury* pełniejszego" itp. Tym sposobem czytelnicy, drażliwi na nieuszanowanie dla twórcy *Kazania Skargi*, ani się domyślali, że on tkwi śród „pięciu" ofiar „powszechnego oburzenia." Józef z Leszna, jak orlowi świętojańskiego robaczka, przyczepia mu p. Zacharyowicza, ale ponieważ niewielu z nas widziało i podziwiało jego pałac arcybiskupów dyzunickich w Czerniowcach i gmach Politechniki lwowskiej, więc tę krzywdę mało odczuwamy.

Ostatecznie trzeba autorowi przyznać niejaką słuszność, że pisma nasze częstokroć grały krzykliwie w ślepą babkę i bardziej podnosiły formalną, niż rzeczową stronę sprawy. Według mojej teoryi naszych robót sejmikowych, jest to dosyć obojętnem, czy komitet „pięciu" miał, czy nie miał prawa unieważnić uchwały poprzedniej; punkt ciężkości spoczywa w tem, czy on splątane pasmo rozwikła i czy tłocząc p. Riegera swemi żądaniami, wyciśnie zeń wreszcie pomnik, tylu wysiłków, ofiar i.... Mickiewicza godny. Jeśli tego dokona, daruję mu wszystkie samowole formalne, zwłaszcza że nie wierzę po tysiącu doświadczeń, ażeby bez takich zamachów stanu ze strony jednostek energiczniejszych jakiekolwiek przedsięwzięcie społeczne u nas narodziło się zdrowo. Jeżeli los chce mnie zawstydzić i za wątpienie ukarać, niech mi przed śmiercią pokaże bodaj jeden przykład umiejętnego i zgodnego działania sejmiku naszego — bez kłótni, starć, protestów zapisywanych w grodzie, daremnej gadaniny i tym podobnych klejnotów rodzinnych. Zdaje mi się, że raczej zobaczę kwitnącą paproć, śpiewające ryby, grające na skrzypcach hipopotamy, dojone jaskółki itp.

Pozorny kłam temu twierdzeniu zadaje Kasa im. Mianowskiego: od lat 7 pędzi spokojny żywot, nie podlega wstrząśnieniom, nie ujawnia nawet wielkiej chęci odnawiania swego składu, tak, że 12 jej lordów prawdopodobnie siłą zwyczaju pozostanie przy swych godnościach dożywotnio. Zauważę jednak, że 1) do tego spokoju izby wyższej przyczynia się bardzo zniesienie izby gmin, którą Kronenberg początkowo zwoływał na narady, a 2) że rozdawanie pieniędzy bez skąpstwa i zbyt surowych wymagań jest dosyć łatwem. Kasa imienia Mianowskiego ma pomagać ludziom pracującym na polu naukowem. Dotąd spełniała ona to zadanie przeważnie w dwu kierunkach: opłacała przekłady dzieł obcych i koszta podróży, przedsiębranych dla badań naukowych. Że nieraz te „badania" ograniczały się na zwykłych wycieczkach za granicę — o tem wiadomo. Mówiąc po prostu, gwarą warszawską, Kasa w tej kategoryi zapomóg kilkakrotnie „wpadła," przedziurawiła sobie nieostrożnie kieszeń, z której wysypały się bezużytecznie i bezpowrotnie setki rubli. Za to w tłomaczeniach grzeszy ona dotąd wprost niepojętem marnotrawstwem. Przytoczę tylko dwa dowody.

Pomimo paru isniejących już przekładów *Iliady* Homera, wystarczających zupełnie literaturze ubogiej, udzielono *1,300 rs.* Augustynowi Szmurle na przekład nowy, bardzo niedołężny, a tak potrzebny, że Sprawozdanie za rok ubiegły nie wykazuje *ani jednego* sprzedanego egzemplarza. P. Struve wpadł na nieszczęśliwą myśl tłomaczenia starych dzieł filozoficznych, których albo nikt nie czyta, albo czytają ci, którzy poświęcają się filozofii i znają język oryginałów. Dotąd przełożono: *Obronę Sokratesa* Platona, *Rozmyślania* Kartezyusza, *Traktat o wrażeniach zmysłowych* Condillaca, a przygotowywa się Berkeley. Za to kasa zapłaciła już 1,600 rs., a w r. 1887 miała z rozprzedaży książek, widocznie ogółowi potrzebnych, aż 18 rs. 43 k.!.. Czy tych 2,900 rs. nie można bez przesady nazwać prawie zmarnowanymi? Czy nie można byłoby ich użyć z większą dla nauki korzyścią? Po co również wydano Korneliusza Neposa, na którego przez cały rok zeszły znalazło się trzech amatorów?

Wiem o tem, że Kasa jest instytucyą bierną, daje tym, którzy się do niej zwracają, a sama przeznaczeń dla swoich środków nie wyszukuje. Czy jednakże powinna ona tak bezwzględnie utrzymywać się w swej roli? Dla porównania biorę Bank handlowy. On także jest instytucyą bierną — dyskontuje weksle i udziela pożyczek tym, którzy się do niego zgłaszają z dostateczną rękojmią materyalną. Ale niejednokrotnie sam występuje z inicyatywą, kiedy upatrzy korzystny dla siebie interes. Czemu zarząd Kasy, zamiast czekać na dyskonto cudzych, a nieraz bardzo wątpliwych weksli, nie da sam pobudki do przeprowadzenia pracy, której dostarczyłby środków? Wszakże już to zrobił z nieszczęśliwą „Biblioteką filozoficzną" p. Struvego, który jest jego członkiem. Jeżeli w tym wypadku propozycya wyszła z łona komitetu, wyjść może w wielu innych, donioślejszych.

Powracam jeszcze do Banku handlowego. Jego dyrektor, p. Dejke, zanim przyjmie weksel, zbada dokładnie odpowiedzialność materyalną wystawcy. P. Dejke jest także członkiem komitetu Kasy, do niej więc wprowadzić powinien zwyczaje banku. Wtedy ona nie dawałaby zapomóg ludziom stosunkowo zamożnym, nie udzielałaby pożyczek na badania naukowe tym, którzy się nauką poważnie nie zajmują; wtedy nie zaopatrywałaby w pieniądze na „studya za granicę" tych, którzy nawet za granicą nie przebywają. Mamy kraik mały, jednostek wyżej ukształconych garść drobną, poznanie więc zasobów i sił umysłowych każdej jest tak łatwem, że omyłki zdarzać się powinny bardzo rzadko.

W jednym względzie Kasa im. Mianowskiego odróżnia się od wszystkich naszych stowarzyszeń: nietylko otrzymuje coraz nowe zapisy i ofiary, ale jej członkowie nie zmniejszają się w liczbie i nie zalegają w składkach. Tu energia zarządu i uczestników jest również odwrotnie proporcyonalną, ale na korzyść ostatnich.

Baron Hirsch, znany bogacz, zapisał 12 milionów złr. na podniesienie oświaty i dobrobytu żydów w Galicyi. Ten samolubny żyd tak urąga swym wspaniałym datkiem naszym „królewiętom," którzy kłócą się o kilkanaście lub kilkadziesiąt rubli podatku wyznaczonego im dla szkoły ludowej, że wartoby cień, padający na nich z tego porównania, odgarnąć przytoczeniem jakiejś równoważnej ofiary. W nekrologach ciągle słyszymy przecie o nadzwyczajnych poświęceniach naszego możnowładztwa; po co taić dowody tej hojności? Trzeba je wydobyć na wierzch i przekonać wątpiących, że my także mamy swoich. . Hirschów. A prawda, mamy, mamy...

To jest faktem, że u nas dobrowolny podatek na cele społeczne rozkłada się odwrotnie: im kto mniej ma, tem więcej daje. Na rzecz kolonij letnich dla dzieci słabowitych Konopnicka ofiarowała wiersz, osobno wydany p. t. „W piwnicznej izbie."

...głos dziecka słychać
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka blada.
— „Moja mateńko, moja rodzona,
Jak też tam na wsi onej?"

Pyta zwiędłe, schorzałe maleństwo, a matka opowiada mu kolejno o polach, łąkach, lasach.

Jaka to czarna dola...
Kto dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola...

Czynią to właśnie ludzie miłosierni, bądź składający pieniądze, bądź zabierający do siebie na lato dzieci. Obraz piwnicznej tęsknoty za słońcem i świeżem powietrzem nie jest przesadny. Gdym zeszłego roku wywiózł syna robotnika na wieś, chłopiec, który wychował się nad rynsztokiem i śród zaduszonych murów, naprzód dostał nerwowego płaczu, a potem zaczął biegać po polu, jak oszalały. Jak dalece zaś wieś odradza te biedne istoty, dość powiedzieć, że 13-letnia dziewczynka po 6 tygodniach pobytu zyskała *19* funtów wagi. To nie sentymentalizm!

Na tle starań całego świata cywilizowanego nietylko o poprawę warunków pracy robotników, ale o zabezpieczenie ich w kalectwie i starości, dziko odbija się taki fakt, o jakim mówi *Kuryer codzienny*. Franciszek Banzen, robotnik jednej z największych fabryk tutejszych, straciwszy władzę w prawej ręce, za 30 lat pracy otrzymał 12 rs. miesięcznie emerytury. Kilkoletnie wszakże życie jego sprzykrzyło się zarządowi, który zmniejszył mu zapomogę do rs. 2. Za taką cenę natura istnieć nie pozwala; więc starzec wrócił do fabryki, gdzie za 15 rs. kazano mu — dźwigać ciężary. Naturalnie upadł pod tą pracą i zaniemógł. Teraz rozwiązuje zagadnienie *perpetuum mobile*, tj. sposobu życia i chorowania za 2 rs. miesięcznie. *Kuryer* wstawia się za nim do „milionowych fabrykantów"; my radzibyśmy pomówić z ich sumieniem i zapytać: ile też przybliżenie zyskali na pracy tego nędzarza przez lat 30?

Natomiast kolej Terespolska — to pani! Wprawdzie pasażerom płacącym każe zaprzeczać dowodnie prawu fizycznemu, według którego dwa ciała jednocześnie na jednem miejscu znajdować się nie mogą, wprawdzie nie wie, czy jej Kasa zjednoczenia wystarczy na pokrycie wszystkich uczciwie wysłużonych emerytur; ale za to uwalniając urzędników za przewinienia służbowe, przyznaje im emerytury. To szyk, który nam, korzystającym z tej drogi na prawach przedwiecznych, urągającym wszelkim ułatwieniom tegoczesnym, wyrywa ciągle z piersi westchnienie: kiedyż tam skończy się bezład i nastąpi jakaś rozumna administracya!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wyrok Senatu w sprawie dwu dat na aktach sądowych. — Wyprawa księdza na mniemanych złoczyńców. — Rozsądny wójt. — Sprostowanie *Dniewnika* co do dąbrowieckiej Nadziei. — Dziwny pensyonarz Studzieńca.—Maskarada szkodnika. — Skarga włościańska. — Można tłomaczyć się nieznajomością prawa. — Czy Towarzystwo sztuk pięknych jest loteryą?

Ważną ze strony formalnej sprawę rozstrzygnął Senat rządzący, mianowicie kwestyę dat na aktach sądowych. Dr Rosenzweig pozwał gabinet dentystyczny pod firmą Gutzman i Scholten w Warszawie o należne mu komorne i uzyskał wyrok, przeciw któremu w imieniu pozwanych zaapelował obrońca, Jan Radwański. Zarówno wszakże sędzia pokoju, jak i Zjazd sędziów uznali to odwołanie się za spóźnione z powodu, że wyrok zapadł d. 18 lutego s. s., apelacya zaś podana została 21 marca tegoż stylu. Na orzeczenie to p. Radwański wniósł skargę kasacyjną do Senatu, w której przytoczył, że skoro wyrok sędziego pokoju zapadł 18 lutego (2 marca), obrońca zaś w końcu miesiąca przez trzy dni posyłał apelacyę, lecz ani rozpoznawanie jej, ani posiedzenie u sędziego nie odbyło się, tak, że dopiero 21 marca (2 kwietnia) apelacya podana została, ale sędzia ją zwrócił, jako przybywającą po upływie terminu miesięcznego.

Taki pogląd sędziego i Zjazdu jest niewłaściwy, gdyż skoro wyrok zapadł 18 lutego (2 marca), termin miesięczny upływa dopiero 21 marca (2 kwietnia); w kraju tutejszym obowiązują dwa style a ogólna zasada określa, iż w razie terminu krotszego z jednego stylu winien on być obliczany według drugiego, który dla pozwanego jest dogodniejszym. Zjazd sędziów pokoju w decyzyi swej powiada, że kalendarzem urzędowym w państwie ruskiem jest juliański, otóż obrońca przywodzi, że gubernie Królestwa polskiego stanowią część państwa, ale, jak inne prowincye i kraje, mają one swe odrębne instytucye, do których należy również kalendarz gregoryański, wprowadzony przez Stefana Batorego w r. 1586. Przed ustawami z r. 1864 nie były wydane żadne postanowienia, usuwające ten kalendarz z powszechnego użycia; tylko rozporządzeniem Rady Administracyjnej z 4 (16) stycznia 1835 nakazano używanie dwu dat we wszystkich aktach urzędowych. Po zaprowadzeniu ustaw sądowych nie zapadło żadne prawo, zastrzegające wyłączność dla kalendarza juliańskiego, używanie zaś przez sądy pokoju jednej daty nie może szkodzić skardze, jako przeciwne postanowieniu Rady Administracyjnej.

Opierając się na przepisach o zastosowaniu ustaw sądowych z r. 1864 w guberniach Królestwa Polskiego, szczególnie zaś na art. 245, obrońca uważał, że Zjazd sędziów nie miał zasady uznawać kalendarza juliańskiego za jedynie obowiązujący, owszem naruszył te przepisy, wymagające od sądów przestrzegania miejscowych praw, zwyczajów i instytucyj, a zatem upraszał o uchylenie decyzyi Zjazdu.

Senat uwzględnił tę prośbę z następujących zasad:

1) w postanowieniach obowiązującego w Królestwie Polskiem Kodeksu handlowego o terminach zapłaty z weksli jest wzmianka, że przy obrachowaniu tych terminów miesiące liczą się wedle kalendarza gregoryańskiego, to jest wedle nowego stylu (art. 132);

2) komitet ministrów, rozpoznawszy wniosek ministra sprawiedliwości w kwestyi zwolnienia biur w guberniach Królestwa Polskiego od zajęć służbowych w święta katolickie, obchodzone wedle nowego stylu, między innemi był zdania takiego: w dni, obchodzone wedle nowego stylu rzymsko-katolickiego kościoła, a wymienione w uchwale tegoż komitetu, uwolnić biura w guberniach Królestwa Polskiego od zajęć służbowych; rzeczona uchwała komitetu ministrów została Najwyżej zatwierdzoną w dniu 15 (27) maja 1881 r.;

3) cywilny departament kasacyjny rządzącego senatu w wyroku swoim ze skargi na zwrócenie przez jeden ze zjazdów pokojowych warszawskiego okręgu sądowego skargi kasacyjnej z powodu opuszczenia daty, obliczonej wedle starego stylu, zastosował ze względu na Najwyższe zatwierdzoną w dniu 15 (27) maja 1881 r. uchwałę komitetu ministrów do obliczenia powyższej daty nowy styl, a bacząc następnie, że skarga kasacyjna podana została w dniu upływu terminu wedle nowego stylu, nakazał skargę przyjąć.

Z powyżej przytoczonego okazuje się, że obowiązujące w Królestwie Polskiem przepisy uznają urzędownie używanie gregoryańskiego kalendarza, i że z tego powodu stosowanie w sądach okręgu warszawskiego nowego stylu do obliczania terminów sądowych winno następować w każdym wypadku, kiedy podobne użycie będzie korzystniejszem dla strony.

Jak rzekliśmy, wyrok ten dla stosunków naszych ma znaczenie czysto formalne, ale ponieważ od tej formalnej strony zależą często bardzo ważne sprawy, jest on przeto nader dobroczynnym. Pomijając bowiem inne względy, spojone z jednym lub drugim kalendarzem, w kraju, gdzie istnieją dwie daty, niepodobna zapobiedz najrozmaitszym powikłaniom, nieporozumieniom, a nawet nadużyciom. Nikt nie może się tłomaczyć nieznajomością prawa; ten wszakże dogmat sądowy w praktyce musi ulegać i ulega złagodzeniu. Do tej nieznajomości zaś trzeba dodać złą wolę, wyzyskującą wątpliwości. Zresztą kalendarz grego-

ryański nie jest wcale zwyczajem miejscowym, lecz ogólnie europejskim, a jako taki powinien korzystać z praw obywatelstwa w państwie.

Ach, jak u nas jeszcze ciemno! Zdaje się, że już minęły czasy, kiedy w lokomotywie widziano rydwan dyabła, że najniższe warstwy szybko oswajają się z nowymi wynalazkami. Gdzie tam! Życie ustawicznie wyprowadza nas z tego złudzenia. Tu nie chciano dać pomocy aeronaucie i podarto mu balon, tam zbito cyklistów i połamano welocypedy, gdzieindziej napadnięto niewinnych podróżników. Tę kronikę ciemnoty *Tydzień* piotrkowski zbogaca nowym przyczynkiem. W zeszłym miesiącu dwaj warszawiacy udali się do Sulejowa dla zwiedzenia ruin klasztoru po-cysterskiego i jego tajemniczych, legendami osnutych podziemi. W tym celu zabrali z sobą narzędzia ślusarskie: młot. kilka pilników, dłuto, świder, rydel, butelkę amoniaku i kilka świec. Na miejscu jednak dowiedzieli się, że owe podziemia nie zawierają nic nadzwyczajnego, a nadto, zrysowawszy się, grożą zawaleniem. Objaśnienia te ostudziły zapał podróżników. Postanowili tedy ograniczyć się na obejrzeniu klasztoru i zdjęciu z niego szkicu, przywiezione zaś narzędzia, jako zbyt ciężkie, zakopali w lesie. Pewien pastuch, podpatrzywszy ich w tej robocie, wydobył narzędzia i zaniósł do proboszcza. Ten, zobaczywszy, jak mniemał, złodziejskie przybory, wezwał parafian, którzy z drągami udali się na miejsce spoczynku mniemanych zbrodniarzów, pochwycili ich, związali i odstawili do wójta gminy Łęczno. Na szczęście wójt, trzeźwiejszy i rozumniejszy od księdza, zbadawszy sprawę, więźniów uwolnił. Niewątpliwie ciekawi młodzieńcy postąpili nieostrożnie, nie uwiadomiwszy, kogo należało, o swym zamiarze; niewątpliwie dostarczyli oni przeciw sobie poszlak; ale pytanie: jeśli wójt mógł rozpoznać niewinność ich przedsięwzięcia, dlaczego na tę mądrość nie zdobył się ksiądz? Uprzednie zbadanie rzeczy było jego obowiązkiem, gdyż tego rodzaju zajścia nie zawsze kończą się tak szczęśliwie. Zwołani na wyprawę parafianie, uwierzywszy podejrzeniom proboszcza, mogli byli dogodzić swym instynktom, a wtedy na czyje sumienie padłby cień ich zemsty?

A teraz coś lepszego, czemu można uwierzyć tylko pod naszą szerokością geograficzną. Pani K. — opowiada *Kuryer warsz.*— wziąwszy na wychowanie małego brata i nie mając na wykształcenie go środków, oskarżyła go o zmyśloną kradzież przed sędzią pokoju, który skazał malca do Osady maloletnich przestępców w Studzieńcu. Roztropna bowiem siostra mniemała, że jest to pensyonat wychowawczy, tylko że droga do niego prowadzi przez sąd kryminalny. Spostrzegłszy omyłkę, widząc, że brata uwięziono, chciała go nazad wydobyć, ale przy tych drzwiach, które się za nim zamknęły, nie wydają kontramarek. Dzięki więc... no, jakby rzec — naiwności siostry, chłopczyna do 18 roku życia musi pozostać niewinnie w kolonii karnej między przestępcami.

Przez ten czas pani K. powinna się pokazywać za biletami.

Sam *Dziennik warsz.* w liście p. Kwietnia z Dąbrowy prostuje niesłuszną skargę poprzedniego swego korespondenta na zarząd „Huty bankowej,“ jakoby wyzyskującej robotników przez stowarzyszenie spożywcze „Nadzieja.“ P. K. wykazuje, że cała ta skarga nie zawiera ani słowa prawdy, gdyż „Nadzieja“ nie jest założną ani od „Huty bankowej,“ ani od innych fabrykantów, sprzedaje towar dobry, po cenach możliwie niskich. Uczestnikami spółki są mieszkańcy Dąbrowy i jej okolic, wszelkich stanów, a między nimi 160 robotników. Każdy bowiem z tych ostatnich, po wniesieniu wkładu rubla, może zostać spólnikiem i przyjmuje udział w dywidendzie, która w r. z. wyniosła 21% od wkładów i 7.4% od zakupów. Że publiczność chętnie nabywa towary w „Nadziei,“ przekonywają cyfry, według których w r. 1887 z ogólnej sumy obrotowej 90,000 rs. przypada 50,000 rs. nie na robotników, lecz na innych spożywców, zwabionych tylko dobrocią towaru. Robotnicy „Huty bankowej“ i kopalni należących do Towarzystwa francuzko-włoskiego otrzymują od zarządów piśmienne poświadczenia, które otwierają im kredyt, dla wielu bardzo potrzebny. Zresztą system kredytowania robotnikowi stosowany jest wszędzie i nikt go za wyzysk nie uważa.

A zatem może to i prawda, że pod „Nadzieję“ podkopał się jakiś złośliwiec, który rozsyłając skargi do rozmaitych pism, chce dogodzić swej osobistej zemście.

„Włościanie“ od pewnego czasu stali się bardzo dobrymi literatami. Do rozmaitych gazet pisują listy nietylko rozsądne w treści, ale poprawne w formie. Są to zapewne bracia starsi przebrani w skórę młodszych, ale wysłuchać ich trzeba. Otóż jeden z takich podnosi w *Gazecie radomskiej* bardzo słuszną skargę. Właściciel każdego nowopostawionego budynku obowiązany jest, pod groźbą kary, zawiadomić o tem właściwą Izbę skarbową. Izby te pociągnęły teraz do odpowiedzialności wielu uchybiających temu przepisowi a między nimi włościan. Oszacowania budynków, przedstawiane władzom powiatowym, dokonywane są przez pisarzów gminnych, którzy za to pobierają wynagrodzenie od włościan; do nich więc a nie do ciemnych chłopów należy obowiązek jednoczesnego zawiadamiania izb skarbowych o każdym nowozbudowanym domu. „Jednorazowe ściągnięcie zaległych od lat kilku i więcej podatków podwyższonych z karami — powiada autor listu—niejednego doprowadza do zupełnej ruiny i to z winy pisarzów gminnych, którzy w tym wypadku podwójnie są odpowiedzialni — raz: że biorą wynagrodzenie za oszacowanie, a powtóre nie pilnują interesu gminy.

Dla uniknięcia podobnych wypadków należałoby postanowić, iżby każdy, przedstawiający oszacowanie budynków pisarz gminny, lub technik, obowiązany był zarazem wygotować raport o tem do Izby skarbowej. Jest to błahostka, a ochroni włościan, już i tak ciągle wyzyskiwanych, od dotkliwych strat, jak obecnie, na krocie rubli w każdej gubernii obliczanych.

Podatek słusznie należy się od wszystkich, lecz karę opłacać winien ten tylko, który wywołał ją swą rozmyślną niedbałością, zna on to prawo dobrze, bierze za oszacowania od chłopa pieniądze, a mimo to rozmyślnie naraża go na tak dotkliwe straty.“

I znowu mamy przykład, że w praktyce trzeba odstąpić od zasady: nikt nieznajomością prawa tłomaczyć się nie powinien.

Sądy: okręgowy warszawski we Włocławku a Zjazd sędziów pokoju w Wilnie rozstrzygnęły pytanie: czy wolno jest sprowadzać i sprzedawać akcye Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie? Posyłki zatrzymane na komorze posłużyły za podstawę do procesów, wytoczonych E. Chmielewskiemu, burmistrzowi z Nieszawy i drowi Kozłowskiemu w Wilnie, za sprzedaż zabronionych (zagranicznych) losów loteryjnych. Oba sądy uznały, że jakkolwiek Towarzystwo sztuk pięknych urządza ciągnienia z wygranemi, nie może być uważanem za loteryę, gdyż jego zadaniem jest kształcenie smaku artystycznego, nie zaś wciąganie publiczności w grę hazardowną.

P. W.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zwolennicy p. Ochorowicza obnoszą po pismach niejaką Podbereską, którą hypnotyzer miał uzdrowić. Ta reklama dowodami jednostkowemi najlepiej wykazuje błędę powodzeń. A gdyby kto złośliwy obliczył, ile Podbereskich szan. czarodziej nie uleczył!

Wyjaśnienie. Z powodu wzmianki naszej o taniem wydaniu dzieł Mickiewicza, odbieramy od kierownika księgarni Łukaszewicza we Lwowie list następujący:

„Poezye Mickiewicza były do r. 1885 wedle istniejących ustaw w Galicyi, wyłączną własnością spadkobierców wieszcza; po tym zaś czasie stały się własnością narodu i mogły być wydawane przez każdego, ktokolwiek sprawą oświaty zająćby się zechciał. Życzenia poety urzeczywistnił nieodżałowanej pamięci A. Bartoszewicz, właściciel księgarni polskiej we Lwowie, który pierwszy zadawalniając się *małym zyskiem*, wydał w r. 1886 utwory poetyczne Adama Mickiewicza w 4 tomach za nizką, jak na owczas, cenę, bo rs. 1 k. 60. Gdy nakład ten był na wyczerpaniu, przedsięwzięła (1888) księgarnia K. Łukaszewicza we Lwowie wydawnictwo *wszystkich* poezyj A. Mickiewicza, oraz i niektórych pism prozą i zamieściła je w 4 tomach w swej „Bibliotece rodzinnej.“ Nakład 15,000 egzemplarzy w kilku miesiącach został rozchwytany, tak że nowa edycya przygotowuje się znowu do druku. Co do ceny, to ona wynosi za 4 grube tomy, blizko 100 arkuszy, złr. 1, czyli rs. 1; wydanie więc jest stosunkowo tańsze, niż warszawskie, które zawiera blizko 500 wierszów mniej, a kosztuje 80 kop., w Galicyi złr. 1. Wobec takiego stanu rzeczy upaść musi twierdzenie, że Galicya w sprawie taniego wydania pism A. Mickiewicza nic nie zrobiła i że Warszawa, jak zwykle, pierwsza wystąpiła.

A. Królikowski.

Komisya kolonizacyjna nabyła dobra Małachowo w pow. witkowskim, folwark Strzyżewsko w pow. pleszewskim i folwark Kruszyński.

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa zamierza utworzyć przy Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej Aleksandryi (Puławach) specyalną szkołę ogrodnictwa i w tym celu wyznaczy komisyę, która zajmie się opracowaniem szczegółowego programu, oraz budżetu.

— Do Instytutu weterynaryi w Charkowie nie będą przyjmowani wcale w r. b. studenci wyznania mojżeszowego.

— Szkoła sztygarów w Dąbrowie Górniczej urządzona zostanie według ogólnego programu dla szkół przemysłowych.

— Z rozporządzenia włady edukacyjnej opłaty szkolne powiększone zostaną z początkiem roku szkolnego 188/9: w warszawskiem II-em gimnazyum mężkiem 56 rs., w kaliskiem mężkiem — 50 rs. i w szkole akuszerek przy klinice uniwersytetu warszawskiego 20 rs. rocznie. Uczenice szkoły akuszerek, przybyłe z prowincyi, uzyskują pewne ulgi.

— Kurator okręgu naukowego warszawskiego zalecił zwierzchnikom wszystkich średnich zakładów naukowych prenumerowanie dla bibliotek szkolnych wydawnictwa p. t. *Ruski przegląd filologiczny*, wydawanego przez p. Smirnowa, profesora uniwersytetu warszawskiego.

— Ministeryum oświecenia przeznaczyło 50,000 rs. na przygotowanie nauczycieli specyalnych przedmiotów dla szkół realnych i przemysłowych.

Koleje. Firma Marchwiński i Danielewski stara się o przeprowadzenie kolei elektrycznej od miasta Łodzi do willi Milscha.

— Przedstawionym został do departamentu dróg żelaznych projekt zastąpienia aparatów telegraficznych telefonami, co pozwoli zrobić znaczne oszczędności przez zmniejszenie służby telegrafu.

— Właściciele fabryk cementów w Królestwie Polskiem uzyskali przywilej obniżenia frachtów kolejowych na towar idący do Cesarstwa.

— Na kolei Wiedeńskiej wskutek żądania akcyonaryuszów, mają być zaprowadzone oszczędności w różnych kierunkach, a między innemi zmniejszony etat osobisty i liczba dyeryuszów.

— Kolej Wiedeńska przyznała uczestnikom zjazdu lekarzy i przyrodników we Lwowie 50% obniżki na przestrzeni od Warszawy do Granicy.

— Rząd perski buduje kolej z Mahmandabadu nad morzem Kaspijskiem do Amolu, odległego o 25 mil.

Na przestrzeni kilku mil szyny zostały już ułożone. Drummond Wolff przedstawił szachowi projekt zorganizowania towarzystwa do budowy drogi z Teheranu do zatoki Perskiej.

— Ogłoszono decyzyę Rady państwa o uorganizowaniu przez towarzystwa kolejowe prywatne — kas emerytalnych i pożyczkowo-wkładowych.

— Otwartą została stacya miejska kolei Terespolskiej przy ul. Królewskiej w Warszawie.

Asekuracya. Zakłady fabryczne łódzkie Scheiblera zabezpieczają wszystkich swoich robotników w liczbie 10,000 w towarzystwie ubezpieczeń na wypadek śmierci, kalectwa lub niezdolności do pracy.

Prasa. Dwutygodnik *Niwa* przekształca się od nowego roku na pismo tygodniowe.

— Redakcya *Przeglądu technicznego* rozpoczyna wydawnictwo dodatkowe, poświęcone sprawom cukrownictwa. Dodatek ten zawierać będzie wiadomości prawne, techniczne i handlowe, odnoszące się do tej gałęzi przemysłu.

Bibliografia. Wiktor Tissot przetłomaczył na język francuzki powieść E. Orzeszkowej *Meir Ezofowicz.*

Konkursy. P. W. Rzewuski, celem uczczenia pamięci Anczyca, ogłasza konkurs na sztukę ludową z nagrodą 225 złr. Sztuka ma być przynajmniej trzyaktową. Z nadesłanych prac sędziowie wybiorą dwie najlepsze i oddadzą je na sąd publiczności przez wystawienic na scenie krakowskiej. Publiczność wyda wyrok za pomocą kartek, wrzucanych do puszek. Termin nadsyłania rękopisów do księgarni Gebethnera w Krakowie oznaczono do 1 stycznia 1889 r. Sędziami będą: Asnyk, Bałucki, Bliziński, Bełcikowski, Kleczkowski, Lubicz i Sarnecki.

— Główny sztab wojenny ogłasza konkurs na projekt specyalnego wagonu sanitarnego dla przewozu rannych żołnierzy. Nagroda za najlepszy projekt 1,000 rs. Wagon winien się odznaczać wygodnem pomieszczeniem dla jaknajwiększej ilości łóżek; ma być łatwo odwietrzany i dobrze oświetlony; ściany podłogi i sufitu winny być podwójne, wewnątrz wagonu nie powinno być obić sukiennych, drzwi tak urządzone, żeby łatwo można było wnosić lektyki i nosze. Termin nadsyłania projektów do głównego sztabu w Petersburgu naznaczono do d. 13 października r. b.

Pożary. W miasteczku Krynki (gub. grodzieńska) spaliło się 160 domów mieszkalnych i około 90 innych zabudowań (3 bożnice). Domy nie były ubezpieczone, ponieważ towarzystwa ogniowe nie przyjmują ubezpieczeń w miasteczkach kraju zachodniego.

— W osadzie Łomazy w pow. bialskim gub. siedleckiej spaliło się trzydzieści kilka domów, wskutek czego sto dwadzieścia rodzin, przeważnie żydowskich, pozostało bez dachu.

Dozwolono niemieckiemu towarzystwu górniczemu Gustawa von Kramsta na dalsze prowadzenie działań w obrębie państwa, pod warunkiem, żeby poddało się wszelkim obowiązującym w Cesarstwie i Królestwie Polskiem prawom.

Dobroczynność. W warszawskiej Radzie miejskiej dobroczynności publicznej opracowany został projekt ustawy stowarzyszenia pod nazwą „Towarzystwa schronienia biednych i przytułków noclegowych. Ma ono wspierać ubogich jednorazowo, oraz objemie nadzór nad przytułkami nocnymi.

— Powstaje w Warszawie stowarzyszenie kobiece, mające na celu zachęcanie pracujących kobiet do oszczędności (?), oraz przychodzenie z pomocą potrzebującym.

Rolnictwo. Rada państwa zatwierdziła projekt ustanowienia agronomów gubernialnych. Mają oni udzielać rad w sprawach gospodarstwa wiejskiego, tak właścicielom większych posiadłości, jako też i włościanom.

Cło. Wskutek starań towarzystw rolniczych i pojedynczych ziemian, ma być zniżone cło od drobniejszych narzędzi rolniczych, przywożonych z zagranicy nie w widokach handlowych, lecz na własne potrzeby — do 25 kop. od puda.

Pokłady srebra odkryto w Fateżu, gub. kurskiej, podczas kopania studni szpitalnej. Próby znalezionego kruszcu przesłano dla oceny do departamentu górnictwa w Petersburgu.

Mennice nie będą już biły monety pięciokopiejkowej miedzianej, natomiast ma być bitą w znaczniejszych ilościach tejże samej wartości moneta srebrna.

Sądy. *Russkij Wiestnik* donosi, że z powodu szeregu wyroków uniewinniających, wydawanych przez sądy miejscowe w sprawach pastorów o obrazę religii prawosławnej, powstał nowy projekt sądowy, według którego sprawy o obrazę tej religii będą roztrząsane przez taki skład sądu, w którym prezes, członkowie, prokurator, sekretarz i komisarz sądowy — wszyscy muszą być wyznania prawosławnego.

Lekarze i weterynarze, którzy obowiązani są za korzystanie ze studyów pozostać przez pewien czas na służbie rządowej, w razie braku miejsc wakujących mają być zaliczeni do liczby zapasowych urzędników ministeryum na przeciąg półtora raza dłuższy od czasu obowiązującej służby czynnej. Jeżeli nadto należą do zapasu na zasadzie ustawy o pełnieniu służby wojskowej, termin powyższy dołącza się do ostatniego, w ten jednak sposób, aby cały okres służby zapasowej nie przewyższał 15 lat.

Zmarli. J. Janicki, inżenier i pisarz w sprawach technicznych — w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Skrzyp. Dubieckiego i Hagena. K. przygotowywa podobno i nowożytną.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

K. LEWALD

HISTORYA XIX w.

od r. 1800 do 1880.

stronic 634

Cena rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 kop. 60.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora. str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr: Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Kramsztyk Stanisław: O postaci i ciężarze ziemi, str. 93, kop. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Szkice i Obrazki, tomów **cztery** z portretem autora. Cena rs. 5. W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław: Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66, kop. 60.

Spencer Herbert: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310, rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274. Cena rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Złota 23.

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Wydawnictwa „Prawdy.“

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**
Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . , ... „ 1 „ 50
„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . . . „ 1 „ 50
„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce,** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.
Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.
Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**
Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.
Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne:** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.
Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.
Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentow *Prawdy* „ 3 „ —
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50
Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie,** powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta,** powieść „ — „ 40

13) — **Niewinni**, dramat w 3 aktach kop. 80 z przesyłką rs. 1

14) Dr Azam: **Charakter w zdrowiu i w chorobie** . . . . rs. 1

15) N. Hirszband: **Byron** w urywkach rs. 20, z przesyłką rs. 1 kop. 25

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX**; ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Іюля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.